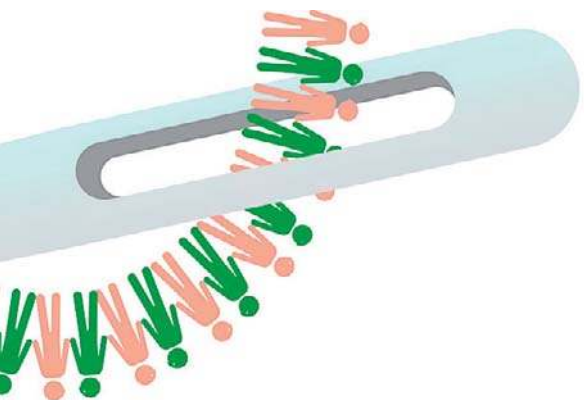




s.14–15

Poszukujemy swoich korzeni z różnych powodów. Chcemy odpowiedzi: kim jesteśmy. A przy okazji pomagamy w rozwoju kryminalistyki

Nr ISSN 1898-3081 | Nr indeksu 349-682



magazyn

POLSKA
METROPOLIA WARSZAWSKA
Puls

dla jednych

SAFE

dla drugich

SAFE

BT

Informacje z Kraju i ze Świata www.i.pl

Piątek-niedziela, 20-22.02.2026
Nr 15 (2526) • Cena 7,00 zł (w tym 8% VAT)

s.8

**Iran straszy
w cieśninie Ormuz.
Będzie interwencja
ze strony USA?**

s.10

**Bez niespodzianek.
Polska 2050
w rozsypce.
A co z koalicją?**

s.4–5

*Prezydent, PiS i Konfederacja chcą politycznie ugrać na sprzeciwie
wobec programu związanego z bezpieczeństwem Polski*

Polityczna wojna o SAFE

REKLAMA

0011472128

**DO GŁOSÓW
GOTOWI
START!**

Kup dowolny produkt LOTTO, weź udział w loterii **Gdy grasz, wszystko gra!**
i zgłosz na obiekty sportowe lub kulturalne w Twojej okolicy.



GŁOSUJ NA WWW.GDYGRASZ.PL



VIP LUNCH (dla 2 osób)
z Robertem
Lewandowskim



VIP LUNCH (dla 2 osób)
z Marcinem
Gortatem



102 ×
e-karta
podarunkowa
Decathlon 400 zł



34 ×
czytnik e-booków inkBOOK
Solaris + voucher Legimi



34 ×
smartwatch
Garmin Instinct® 3 Solar

18+



Szczegóły i regulamin na www.gdygrasz.pl. Okres sprzedaży produktów promocyjnych uprawniających do udziału w loterii trwa od 26 stycznia do 26 lutego 2026 r.
Udział w loterii poprzez głosowanie na wybrany obiekt sportowy lub kulturalny możliwy jest od 26 stycznia do 28 lutego 2026 r.
Organizator loterii: Totalizator Sportowy Sp. z o.o., ul. Targowa 25, 03-728 Warszawa.

Graj w punktach LOTTO, w aplikacji i na lotto.pl



W poniedziałek magazyn

● „Niech ta wojna wreszcie się skończy”. Cztery lata po rosyjskiej agresji na naszego sąsiada końca działań wojennych nie widać

Janusz Michalczyk
publicysta



KACPER SKACZE, NARÓD W EUFORII

Miał nosa stary mistrz - Wojciech Fortuna, gdy przed zimowymi igrzyskami stwierdził, że stawia na Kacpra Tomasiaka. Forma 19-latka wystrzeliła niczym korek od szampana i możemy się cieszyć z jego trzech medali w skokach narciarskich. To wielka zaleta sportu, który potrafi dostarczyć ludziom radości zupełnie niespodziewanie, a czasem nawet na przekór chłodnym, rozsądnym kalkulacjom. Każdy z nas mógł przez moment zaznać ogromnej satysfakcji, jakbyśmy to my sami stanęli na rozbiegu, pomknęli w dół ku przepaści i zgrabnie odzyskali kontakt z ziemią przy aplauzie widzów.

Rewelacyjne osiągnięcie Tomasiaka zapowiada prawdopodobnie serię jego sportowych sukcesów, co może oznaczać zmianę warty w doświadczonej ekipie. Czy to pora pożegnać z wybitnymi zawodnikami tej miary co Kamil Stoch, Dawid Kubacki czy Piotr Żyła? Każdy z nich zasłużył na szacunek kibiców, ale życie biegnie nieubłagane i trudno patrzeć, jak lądują daleko za młodszymi rywalami.

Jednocześnie warto zauważyć, że Tomasiak nie zdobył na igrzyskach złotego medalu, lecz dwa srebrne i brązowy, a przy jednym z nich w sukurs przyszła mu śnieżycy, po której sędziowie anulowali ostatnią serię skoków, ku zrozumiałej rozpaczy konkurentów. Cóż, najwygodniej skwitować to maksymą „szczęście sprzyja lepszym”. Najważniejsze zatem wciąż jeszcze przed 19-latkami.

Wiele wskazuje też na to, że nie grozi mu załamanie kariery, co przytrafiło się młodemu Fortunie, którego przed laty, po „skoku życia” w japońskim Sapporo, zniszczyło uwielbienie rodaków. Górale najzwyczajniej w świecie go rozpiłi. Tomasiak żyje jednak w zupełnie innej epoce i w dodatku jest ministrem, co powinno mu pomóc w zwalczaniu pokusy stania się idolem.

Tak się zresztą składa, że dla katolików rozpoczął się właśnie Wielki Post, który jak wiadomo ma polegać na rezygnacji z pospolitych rozrywek, wyrzeczeniu się rozkoszy ciała, poskromieniu łakomstwa. Wszystko to powinno sprzyjać skupieniu na życiu duchowym. Trudno zarazem nie zauważyć, że asceza mało kogo dziś pociąga. Dlatego warto przyglądać się zachowaniu Tomasiaka. Być może zainspiruje młodych do bardziej świadomego przeżywania codzienności.

Z CZEGO JUTRO ...? KIEDY RZĄDY PRZYSYPIAJĄ OD NADMIARU NIEWIEDZY RODZĄ SIĘ ZMOWY KARTELI

Kiedy rządy przestają być gwarantem wolności i uczciwości dla wolnokonkurencyjnego kapitalizmu, rodzą się zemony karteli, które stają się jego demonami niczym ze słynnej ryciny Francisco Goi „gdy rozum śpi, budzą się demony”. „El sueño de la razón produce monstruos”. Parafrazując parafrazę Aleksandra Krawczuka doprecyzowaniem, że „jeśli historia uczy czegośkolwiek, to tylko tego, że parający się polityką nigdy niczego się z niej nie nauczyli”. Pomijając możliwy efekt wyparcia edukacji jako nieświadomy mechanizm obronny psychiki na doświadczenia doznane w czasie jej trwania oraz zwykłe działania w złej wierze, to nie ma racjonalnego wytłumaczenia dla parających się polityką przejścia do porządku głosowania ustaw ignorujących doświadczenie i wielopokoleniową wiedzę.

Ponad półtora wieku temu Napoleon III odrzucił propozycję zakupu dział Alfreda Kruppa i temu zdarzeniu przypisuje się dość szybką i druzgocącą klęskę jego armii w wojnie francusko-pruskiej lat 1870-1871, którą i tak by przegrał nawet je posiadając, bowiem francuska artyleria została by i tak pokonana przez lepszą pruską doktrynę użycia artylerii. Mimo posiadania podobnych technologicznie dział przez Francję już były one taktycznie niewłaściwie używane co ograniczyło ich skuteczność.

Zaś skuteczność amerykańskiego wysiłku militarnego i włączenie się do wojny przeciwko państwu Osi Berlina-Rzymu-Tokio skutecznie ograniczały ponadnarodowe zemony karteli rodzimych wraz z obcymi, że ważyły na wygranej aliantów. W listopadzie roku 1928 General Electric i niemiecki koncern Krupp zawarły porozumienie kartelowe o podziale

Andrzej Sadowski
Centrum Adama Smitha



światowego rynku węgla i wolframu, w wyniku którego GE uzyskało prawo do ustalania jego cen w USA. Materiału tego używano do produkcji narzędzi tnących i wiertel i był również kluczowy dla przemysłu zbrojeniowego. Kiedy w wyniku zmonopolizacji cena funta węgla i wolframu w USA drastycznie wzrosła z 48 \$ do 453 \$, co doprowadziło do ogromnych niedoborów tego surowca, w Niemczech materiał ten był wielokrotnie tańszy, co dawało niemieckiemu przemysłowi, w tym rodzącej się machinie wojennej III Rzeszy ogromną przewagę technologiczną i kosztową jeszcze przed agresją na Polskę w roku 1939.

Zmowa kartelowa amerykańskiego i niemieckiego koncernu była efektem negocjacji w sporach patentowych dotyczących technologii produkcji węglików spiekanych „Carboloy”, który dzięki swojej niezwyklej twardości był w stanie zwiększyć wydajność obróbki metali nawet o 500%. Technologia ta stała się nieoceniona w produkcji uzbrojenia, począwszy od elementów silników lotniczych po pancernie i pociski. Koncerny uznały, że zamiast konkurować w rozwoju technologii podzielić między sobą światowy rynek i „wyeliminują konkurencję”.

Zmowa z roku 1928 stworzyła szczelny system kontroli rynku. Opierała się na podziale stref wpływów, w którym GE uzyskało wyłączność na rynku amerykańskim i w zachodniej hemisferze, natomiast Kruppowi „przypadła” pozostała część świata. W roku 1936 zmonopolizowano zbrojeniowy rynek Kruppa do całko-

witego zaniechania eksportu do USA, a GE nie eksportowaniem swoich produktów bez jego zgody. W ten sposób koncerny doprowadziły do sztywnej kontroli cen, w której kluczowym elementem spisku było upoważnienie GE do ustalania minimalnych cen sprzedaży węglików na rynku USA. Krupp zobowiązał się do przestrzegania tych cen, co doprowadziło do ich skokowego i drastycznego wzrostu. Duopol doprowadził do likwidacji konkurencji, gdyż wspólny front patentowy uniemożliwiał innym amerykańskim firmom wejście na rynek. GE wykupywało lub eliminowało konkurentów, a Krupp jako współwłaściciel patentów decydował, kto w ogóle może produkować węglik w USA. W zamian za rezygnację z rynku amerykańskiego Krupp otrzymywał od GE tantiemy od każdej sprzedanej w USA funta węgla.

Choć pierwsze oskarżenia pod adresem GE padły już w roku 1940 proces został odroczony na czas trwania wojny ze względu na „ważny interes narodowy” i wznowiony w roku 1947. W roku 1948 sąd uznał General Electric oraz Kruppa za winnych spisku i naruszenia ustawy antytrustowej Shermana - The Sherman Antitrust Act poprzez nielegalne kontrolowanie cen i ograniczanie konkurencji, które miały na celu monopolizację strategicznego surowca kosztem bezpieczeństwa USA.

Skutki tej umowy wykraczały daleko poza zwykłe naruszenie zasad wolnego rynku i miały tragiczny wymiar geopolityczny, bowiem stała się hamulcem dla amerykańskiego przemysłu

zbrojeniowego, któremu ze względu na sztucznie zawyżone ceny w USA na przełomie lat 30 i 40 brakowało tego strategicznego surowca. Już w trakcie wojny w roku 1942 amerykańscy śledczy zeznali, że porozumienie GE z Kruppem stało się „wąskim gardłem” w produkcji wojennej USA, podczas gdy Niemcy miały do niego nieograniczony dostęp.

Dziś dla swojego istnienia kartele potrzebują wsparcia legislacyjnego, które ogranicza wolną konkurencję. Tworzenie labiryntów skomplikowanych przepisów jest spójne z de la maison Komisji Europejskiej. Koncerny zaskakująco często popierają skomplikowane prawo, bowiem tylko one są w stanie udźwignąć koszty jego przestrzegania. Na ile dzisiejsze regulacje Komisji dotyczące m.in. AI nie tworzą podstaw do zmonopolizowania informatycznych i zbrojeniowych, ograniczając de facto konkurencję, która zniwala może pojawić się ze strony innowacyjnych startupów dysponujących szybciej niż koncerny przełomowymi technologiami? Czy pod płaszczykiem „europejskiej suwerenności” i pod sztandarem obronności oraz „bezpieczeństwa cyfrowego” nieordynowana jest kartelizacja? Śrubowanie norm technicznych i certyfikacji sprawia, że mniej szp. innowacyjny producent np. dronów z Polski czy państw bałtyckich nie ma szans na przebicie się przez biurokratyczny mur, który nie zwiększa naszego bezpieczeństwa podobnie jak zmowa koncernów z roku 1928. Nadmiar regulacji zawsze tworzy zemony i monopole.

Andrzej Sadowski założyciel i prezydent Centrum im. Adama Smitha - pierwszego w Polsce think tanku, działającego od 16 września 1989 roku

Kulturalny ORLEN - rusza 2. edycja.

100 tysięcy na inicjatywy dla dzieci i młodzieży

Trwa nabór do drugiej edycji programu Kulturalny ORLEN, który skierowany jest do lokalnych instytucji kultury w całej Polsce, prowadzących zajęcia dla dzieci i młodzieży. Można uzyskać aż 100 tys. złotych dofinansowania na projekt. Budżet całego programu wyniesie 12 mln złotych.

Pierwsza edycja przerosła oczekiwania. Skąd taki gład sztuki?

Kiedy ogłaszano pierwszą edycję programu Kulturalny ORLEN, nikt nie przypuszczał, że odzew z całego kraju będzie aż tak duży. Do organizatorów wpłynęło blisko 2800 wniosków i było to jasnym sygnałem, jak wielką potrzebą tworzenia lokalnych inicjatyw kulturalnych, drzemie w polskim społeczeństwie. Wysoki poziom merytoryczny zgłaszanych projektów sprawił, że zamiast planowanych 100, do udziału w programie zakwalifikowano finalnie 185 podmiotów. Wiele z nagrodzonych projektów realizowanych jest w miejscowościach, w których kultura dotąd była dostępna w bardzo ograniczonym zakresie. Dzięki temu wsparciu, dzieci i młodzież mogły pierwszy raz wziąć udział w profesjonalnych warsztatach artystycznych, obejrzeć spektakle teatralne czy uczestniczyć w zajęciach filmowych. Instytucje, które wcześniej borykały się z brakiem funduszy na rozwój swojej oferty, mogły wreszcie zaprosić do współpracy doświadczonych twórców, instruktorów oraz edukatorów.

Nabór do drugiej edycji programu

Kulturalny ORLEN skupia się na inicjatywach artystycznych, edukacyjnych oraz organizacji koncertów, wystaw czy festiwali, które budują kontakt z kulturą od najmłodszych lat. Poprzez upowszechnianie dostępu do edukacji kulturalnej, zwłaszcza w mniejszych miejscowościach, Kulturalny ORLEN dąży do wyrównywania szans i eliminowania barier społecznych. To inwestycja w rozwój młodych ludzi, która daje im przestrzeń do budowania pewności siebie oraz trwałych relacji społecznych. W naborze do drugiej edycji programu mogą uczestniczyć lokalne instytucje kultury, a także fundacje czy stowarzyszenia – w tym także te najmniejsze, działające lokalnie. Lista uprawnionych do składa-



nia wniosków obejmuje ponadto stowarzyszenia zwykłe, koła gospodyń wiejskich, spółdzielnie socjalne, pałace młodzieży, młodzieżowe domy kultury, ogniska pracy pozaszkolnej, ogrody jordanowskie oraz ogniska artystyczne. Ważnym warunkiem jest to, aby organizacja pracowała z dziećmi i młodzieżą w wieku szkolnym. Ostateczny termin przyjmowania wniosków do drugiej edycji programu to 6 marca 2026 roku. Po zakończeniu naboru rozpocznie się proces weryfikacji zgłoszeń, a lista podmiotów, które otrzymają granty, zostanie ogłoszona do 30 czerwca 2026 roku. Same projekty będą mogły wystartować od 1 września 2026 roku. Wszelkie szczegóły, w tym formularz zgłoszeniowy można znaleźć na stronie internetowej www.kulturalnyorlen.pl.

Szeroki wachlarz sposobów wydatkowania grantu

Środki otrzymane w programie można przeznaczyć na organizację różnego rodzaju warsztatów, takich jak zajęcia plastyczne, teatralne, fotograficzne, ceramiczne, literackie czy filmowe. Grant pozwala także sfinansować wynagrodzenia instruktorów, animatorów oraz szkoleniowców, a także na opłacenie kosztów szkoleniowych dla kadry biorącej udział w projekcie. Możliwe jest również sfinansowanie wy-

namu nieruchomości potrzebnych do realizacji działań, opłacenie obsługi technicznej czy produkcji samych wydarzeń. Bardzo istotnym aspektem programu jest nacisk na dostępność i włączanie wszystkich grup społecznych. Środki z grantu mogą zostać wykorzystane na zakup materiałów i usług, które zwiększą dostępność projektu dla osób z niepełnosprawnościami. Mowa tutaj o przygotowaniu audiodeskrypcji, tłumaczeniach na język migowy czy zakupie specjalistycznych pomocy sensorycznych.

Dodatkowo finansowanie może objąć koszty związane z transportem uczestników, który bywa barierą w mniejszych miejscowościach, a także działania promocyjne i komunikacyjne, dzięki którym informacja o projekcie dotrze do szerokiego grona odbiorców. Każdy projekt może uzyskać wsparcie do 100 tysięcy złotych. Taka kwota daje realną szansę na zakup niezbędnego wyposażenia, narzędzi czy aparatury potrzebnej do pracy z młodzieżą.

Realizowane projekty, które inspirują

Przykłady z trwającej jeszcze pierwszej edycji programu najlepiej pokazują, jak realnie zmienia on lokalną rzeczywistość. W Bezmiechowej Dolnej, małej bieszczadzkiej wsi, Biblioteka Publiczna w Lesku mogła zaoferować dzieciom uczestnictwo w warsztatach teatralnych i spotkanie się z aktorem Arturem Barcisiem. Wcześniej takie inicjatywy były poza finansowym zasięgiem placówki. - Dzięki programowi „Kulturalny ORLEN” mogliśmy za-

proponować coś nowego: warsztaty plastyczne i teatralne skierowane do dzieci z terenów wiejskich - wyjaśniła dyrektorka placówki Maria Petka-Fundanicz. Podobny efekt osiągnięto w Wejherowie, gdzie Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej zorganizowało warsztaty teatralne dla najmłodszych. Instytucja otworzyła się na nowych odbiorców i odeszła od wizerunku miejsca skierowanego wyłącznie do specjalistów. - Zależało nam na wielopokoleniowym otwarciu się na mieszkańców i zaproszeniu do współpracy dzieci, które wnoszą ogrom pozytywnej energii - opisuje Izabela Bukowska, kustosz muzeum i koordynatorka projektu. Z kolei w Kluczborku projekt CERAMOMIASTO pozwolił najmłodszym stworzyć ceramiczne elementy, które ozdobiły miejską przestrzeń, budując w nich poczucie, że ich działania mają realne znaczenie. - To miejsce, które nie tylko rozwija zdolności manualne i wyobraźnię, ale przede wszystkim buduje poczucie, że ich działania mają realne znaczenie - podkreślił Jarosław Paluch, dyrektor Centrum Kultury w Kluczborku, gdzie odbywają się warsztaty. Program został objęty honorowymi patronatami Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Ministra Edukacji. Organizatorami są ORLEN oraz Fundacja ORLEN im. Ignacego Łukasiewicza, a wszelkie szczegóły oraz formularz zgłoszeniowy można znaleźć na stronie internetowej www.kulturalnyorlen.pl.



Jest kilka tematów, które rozgrzewają polską scenę polityczną. Niewątpliwie jednym z nich jest program SAFE. We wtorek, przed posiedzeniem rządu, premier Donald Tusk ponownie zwrócił się do prezydenta Karola Nawrockiego, polityków PiS i Konfederacji.

- Zastanówcie się, czy naprawdę chcecie uderzyć w samo serce Polski w sytuacji, kiedy za granicą jest tak okrutna wojna. Nikt wam tego nie wybaczy i naprawdę nikomu łaski nie robicie, pomagając rządowi w realizacji tego programu - mówił premier.

Dodał, że „tu żadne słowa nie są zbyt wielkie”. - Takiej zdrady interesów narodowych nikomu nigdy nie wybaczy, jeśli rzeczywiście będziecie atakowali te polskie interesy w sposób tak cyniczny i tak szeroki - ciągnął. - Nic nie jest w stanie usprawiedliwić działania, które w konsekwencji może oznaczać utratę 20 miliardów złotych tylko dla jednego zakładu, jakim jest Huta Stalowa Wola - dodał.

Ale też według prognoz Agencji Uzbrojenia, wartość inwestycji z programu SAFE w samą Huta Stalowa Wola przekroczy tę kwotę, HSW produkuje m.in. armatohauby Krab, Bójowy Wóz Piechoty „Borsuk” i samobieżne moździerze Rak.

Premier zauważył, że „ten zamach na Stalową Wolę jest tym bardziej paskudny”, że PiS w sobotę organizuje w tym właśnie mieście konwencję programową.

- Bardzo trudno mi zrozumieć, ja właściwie nie jestem w stanie zrozumieć, czym się kierują ci, którzy podejmują w tej chwili decyzję o próbie zablokowania tych pieniędzy (z programu SAFE) - podkreślił Tusk. - My i tak znajdziemy sposoby, nawet jak będą blokować, nawet jak będą wetować. I tak znajdziemy sposoby, żeby przynajmniej część tych środków uratować, ale to będzie kosztowało czasu i to trochę będzie kosztowało też niepotrzebnie pieniędzy, nerwów - dodał.

Przypomniał też kontrakt zbrojeniowy zawarty z czasów rządów PiS i stwierdził, że „pożyczka koreańska ma prawie dwukrotnie wyższe oprocentowanie”, niż pożyczki w ramach unijnego programu SAFE. Umowy z Koreą na zakup południowokoreańskich czołgów K2, armatohauby K9 oraz samolotów FA-50 podpisał były szef MON Mariusz Błaszczak.

Przypomnijmy: SAFE to program, który ma wzmocnić obronność państw członkowskich UE. Przewiduje łącznie 150 mld euro wsparcia, m.in. w postaci niskooprocentowanych pożyczek, przede wszystkim na zakupy sprzętu wojskowego, zwłaszcza produkowanego w Europie. Polska złożyła wniosek o dofinansowanie na kwotę 43,7 mld euro, będącym samym największym beneficjentem tego programu pożyczkowego.

PROGRAM SAFE. POLITYCZNY SPÓR O WIELKIE PIENIĄDZE

Wydaje się, że kwestie bezpieczeństwa kraju powinny być wyciągnięte poza nawias sporu politycznego. Prezydent Karol Nawrocki i premier Donald Tusk zapewniali zresztą, że na tej płaszczyźnie będą ze sobą współpracować. Unijny program SAFE będzie tego najlepszym sprawdzianem

Dorota Kowalska

W MON przygotowano ustawę wdrażającą ów program dozbrajania, w ubiegły piątek parlament miał zadecydować o jej przyjęciu bądź odrzuceniu.

Przed głosowaniem minister finansów Andrzej Domański podkreślał z mównicy sejmowej, że program SAFE pozwoli Polsce zaoszczędzić od 36 do 60 mld zł oraz przyspieszyć modernizację sił zbrojnych. Zapowiedział również złożenie „kompleksowej poprawki” na etapie prac senackich.

Jak zaznaczył, poprawka ma „bardzo wyraźnie pokazać”, że spłata zobowiązań wynikających z SAFE nie będzie realizowana z części 29. budżetu Ministerstwa Obrony Narodowej, czyli z Funduszu Wsparcia Sił Zbrojnych, z którego obecnie finansowane są liczne kontrakty zbrojeniowe.

- Każdy, kto głosuje przeciwko programowi SAFE, jest albo głupcem, albo zdrajcą interesów Polski - mówił szef resortu finansów.

Z kolei wicepremier i minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz podkreślał, że to „jedno z najważniejszych głosowań w historii modernizacji sił zbrojnych. Tłumaczył, że polska armia potrzebuje radykalnego przyspieszenia modernizacji, na co ma pozwolić właśnie program SAFE. Zwracał też uwagę na transparentność procesu finansowania oraz na zawarte w ustawie mechanizmy antykorupcyjne.

Potem odbyło się głosowanie. Za przyjęciem ustawy opowiedziało się 236 posłów, przeciw było 199, wstrzymało się 4. Na 180 biorących udział w głosowaniu posłów PiS 179 było przeciw, 1 wstrzymał się od głosu. Wszyscy głosujący posłowie Konfederacji (14 osób) byli przeciw ustawie.

„Maski opadły. PiS i Konfederacja zagłosowały przeciwko programowi SAFE, czyli przeciw bezpieczeństwu Polski, przeciw nowoczesnej armii, przeciw polskiemu przemysłowi zbrojeniowemu. To już nie jest opozycja, to są wrogiowie polskiej niepodległości” -



Premier Donald Tusk: zablokowanie programu SAFE oznaczałoby uderzenie w polskie bezpieczeństwo; tu nie ma miejsca na politykę

napisał na portalu X premier chwilę po głosowaniu.

Do wyników głosowania odniosła się również marszałek Senatu Małgorzata Kidawa-Błońska, która napisała na X, że „PiS zagłosował w Sejmie przeciwko ustawie SAFE - przeciwko bezpieczeństwu Polski i polskiej gospodarce”. „Tego nie można nazwać inaczej niż zdradą” - dodała.

Z kolei minister koordynator służb specjalnych Tomasz Siemoniak uważa, że opozycja zagłosowała przeciwko „przyspieszeniu modernizacji Wojska Polskiego”, a „to działanie wbrew polskim interesom i wbrew polskiej racji stanu”.

Dlaczego właściwie PiS zagłosował przeciwko SAFE? W czwartek, dzień przed głosowaniem posłowie i posłanki PiS prowadzili w mediach społeczną kampanię przeciwko SAFE.

„Nikt kto chce silnej i suwerennej armii, nie powinien popierać funduszu SAFE” - ogłosił Jarosław Kaczyński.

„Stop oszustwom. Polska ma być państwem niepodległym” - to były minister obrony Mariusz Błaszczak. I dalej, że to nie jest „manna z nieba. To polityczna smycz”.

Mateusz Kurzejewski: „Polska armia ma być budowana według polskiej strategii. Nie według cudzych wytycznych”.

Anna Krupka: „My wiemy, jak budować silną armię bez unijnych kredytów i narzuconych warunków!”.

Po takich słowach można się było spodziewać, jak zagłosują politycy Prawa i Sprawiedliwości, Konfederacji od dawna wyrażali wątpliwości wobec programu SAFE.

- To, co wiemy o programie SAFE, napawa nas sceptycyzmem, że jest to racjonalny sposób zadłużania się. Wspieramy

wydatki na obronność, na bezpieczeństwo, natomiast to musi być robione z głową - stwierdził lider Konfederacji Krzysztof Bosak. Jego zdaniem program SAFE nie jest potrzebny, by kupić to, co już jest na rynku.

Według Bosaka obecne założenia nie mają nic wspólnego z pierwotnie deklarowanymi celami. - Pierwotnie deklarowany cel to miała być rozbudowa przemysłu zbrojeniowego. Tymczasem tutaj mamy tak krótkie terminy, że to będą w mojej ocenie wielkie zakupy już istniejących produktów z już istniejących fabryk - zauważył Bosak.

Podkreślił, że Polska zbroi się bardzo intensywnie, natomiast należy uchwycić nad tym kontrolę kosztową, a obecnie wprowadzona tajność tych planów wydatkowych absolutnie temu nie sprzyja.

- Uważam, że musi być polityczna kontrola nad wydatkami - powiedział Bosak.

W poniedziałek, a więc trzy dni po głosowaniu, prezes Kaczyński jeszcze raz jasno przedstawił stanowisko PiS w sprawie SAFE i zaapelował do prezydenta Nawrockiego o zawetowanie ustawy wdrażającej ten unijny program. Według niego SAFE ma „potężne aspekty polityczne”, a jego celem jest zjednoczenie Europy „pod niemieckim przywództwem”.

Zdaniem Kaczyńskiego kwestia programu SAFE ma dwa aspekty. Pierwszym, jak mówił, są „pieniądze, podobno na dobrych warunkach, chociaż ich nie znamy”. Jako drugi z aspektów prezes PiS wymienił zasadę warunkowości i podkreślił, że to właśnie ta kwestia zdecydowała o sposobie głosowania klubu.

- W gruncie rzeczy sprowadza się do tego: jak rządzą ci, których my chcemy - czyli Berlin w istocie chce - to tak, a jak rządzą inni, to nie - stwierdził. Dodał, że taka konstrukcja pro-

gramu jest dla PiS „absolutnie nie do przyjęcia”.

Kaczyński podkreślił, że SAFE oznacza w praktyce odwrócenie się od takich partnerów jak Stany Zjednoczone i Korea Południowa, co jego zdaniem byłoby szkodliwe dla Polski.

Polska powinna bronić swojej niezależności, pomimo korzystniejszych finansowo ofert związanych z SAFE.

– Polska niepodległość nie ma po prostu ceny – dodał. Jego zdaniem proponowane mechanizmy stawiają Polskę pod „niemieckim butem”.

Prezesowi Kaczyńskiemu wtórowali były szef MON Mariusz Błaszczak, co o tyle zadziwiające, że jeszcze we wrześniu ubiegłego roku określał SAFE jako szansę polskiego przemysłu zbrojeniowego. Dziś politycy PiS przekonują, że „dopiero teraz” okazało się, „czym w rzeczywistości” jest ten program. Twierdzą, że beneficjentem będą Niemcy, a nie polskie zakłady.

Tyle tylko, że między 80 a 90 proc. środków z SAFE wydanych zostanie w polskim przemyśle zbrojeniowym. Szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz poinformował też, że nie wszystkie szczegóły listy projektów w ramach programu SAFE zostaną upublicznione, ale w najbliższych dniach dojdzie do pogodzenia dwóch racji – potrzeby oklauzulowania dokumentu

i chęci prezentacji przynajmniej jego zakresu.

O przekazanie do opinii publicznej zawierającego 139 projektów dokumentu apelowała w ostatnim czasie – szczególnie podczas ostatnich obrad Rady Bezpieczeństwa Narodowego – strona prezydencka.

Kosiniak-Kamysz zwrócił uwagę, że szef Agencji Uzbrojenia gen. Artur Kuptel „często przedstawiał, że dla jego potrzeb negocjacji, dyskusji na pewno oklauzulowanie tego dokumentu jest potrzebne”.

– Z drugiej strony jest też chęć przedstawienia tych projektów. Szczególnie nasza ambicja – pokazanie, jak wielkie projekty modernizacyjne możemy realizować, jak ważne to jest dla polskiego wojska. Myślę, że w najbliższych dniach możemy się spodziewać, że pogodzimy te racje – rzetelności, staranności i te wnioski płynące od wojska, ale również chęć prezentacji przynajmniej obszaru, zakresu, jakie tematy będą podjęte w programie finansowania z środków europejskich – mówił Kosiniak-Kamysz.

W swoim wniosku o pieniądze z Komisji Europejskiej polskie MON zawarło łącznie 139 projektów, na których realizację mają one zostać przeznaczone. Choć lista nie jest jawna, wiadomo, że obejmować ma najważniejsze produkty pol-

skiej zbrojeniówki, jak przeciwlotnicze wyrzutnie Piorun, wozy bojowe piechoty Borsuk czy armatohaubice Krab, w planach ma być także m.in. zakup tankowców powietrznych produkowanych przez europejski koncern Airbus czy rozwój zdolności antydronowych.

Na tej samej konferencji prasowej, stojący obok Kosiniaka-Kamysza, minister infrastruktury Dariusz Klimczak mówił, że program SAFE jest „gwarancją bezpieczeństwa Polski”, a bezpieczeństwo państwa to także „dobry klimat dla rozwoju gospodarczego, dobry klimat dla inwestorów”. Dodał, że ewentualne zawetowanie przez prezydenta uchwalonej przez Sejm ustawy w sprawie programu byłoby „bardzo poważnym błędem politycznym i działaniem przeciwko racji stanu”.

Bo teraz wszystkie oczy zwrócone są w stronę prezydenta Nawrockiego. Magdalena Sobkowiak-Czarnecka, pełnomocniczka rządu ds. programu SAFE, podkreśliła, że rząd starał się rozwiewać wątpliwości prezydenta wobec ustawy podczas ostatniej Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Na pytanie, co planuje rząd w przypadku prezydenckiego weta, Sobkowiak-Czarnecka podkreśliła, że „jest nas wszystkich odpowiedzialnością, żeby te pieniądze zostały

dobrze wydane na obronność Polski”.

Co zrobi Karol Nawrocki? Podpisze czy zawetuje ustawę wdrażającą program SAFE?

– Wiemy, że rząd robi podchody pod Nawrockiego, ale gdybym miał dziś stawiać pieniądze, to wydaje mi się, że prezydent postawi weto. Wystarczy posłuchać, co o SAFE mówi Sławomir Cenckiewicz, czy Jacek Saryusz-Wolski [doradca Karola Nawrockiego]. Nie zostawiają suchej nitki na tym programie – powiedział Onetowi jeden z polityków prawicy.

Ponoć weto stało się jeszcze bardziej prawdopodobne po tym, gdy przedstawiciele

rządu zaczęli przyznawać, że ustawa o SAFE nie jest konieczna, by wziąć tę pożyczkę. Wprowadza ona mechanizm finansowy z wykorzystaniem Banku Gospodarstwa Krajowego. Bez niego skorzystanie z programu jest możliwe za pośrednictwem Funduszu Wsparcia Sił Zbrojnych.

Trudniej będzie jednak sfiansować z SAFE programy dla obszarów, za które odpowiadają MSWiA, czy Ministerstwo Infrastruktury.

By Polska mogła skorzystać z SAFE, uchwalona w piątek ustawa musi wejść w życie do marca, gdy planowane jest zawarcie umowy pożyczkowej

na środki z SAFE z Komisją Europejską. Ustawa zakłada stworzenie zarządzanego przez Bank Gospodarstwa Krajowego Finansowego Instrumentu Zwiększenia Bezpieczeństwa (FIZB), za pośrednictwem którego rząd będzie mógł korzystać z pieniędzy z SAFE.

Cóż, wydaje się, że kwestie bezpieczeństwa kraju powinny być wyciągnięte poza nawias sporu politycznego. Prezydent Karol Nawrocki i premier Donald Tusk zapewniali, że na tej płaszczyźnie będą ze sobą współpracować. Unijny program SAFE będzie tego najlepszym sprawdzianem.

PAP

REKLAMA

0011461412

Karnawałowe szaleństwo w Centrum Mody Nadarzyn 2026

Czynne w każdą **NIEDZIELĘ** niektóre sklepy **CM** **Al. Katowicka 51, Nadarzyn** **DOBRY WYBÓR** **tel. 22 739 55 00** **ELEGANCJA**

0011474682

REKLAMA



Czas na zdrowie



Zakwaterowanie



3 posiłki dziennie w formie bufetu szwedzkiego



Konsultacja lekarska



4 zabiegi dziennie (oprócz niedziel i dni świątecznych)



90 min. dziennie w Strefie Relaksu (sauna, jacuzzi, grota solna, siłownia)



Voucher do Integracja Cafe



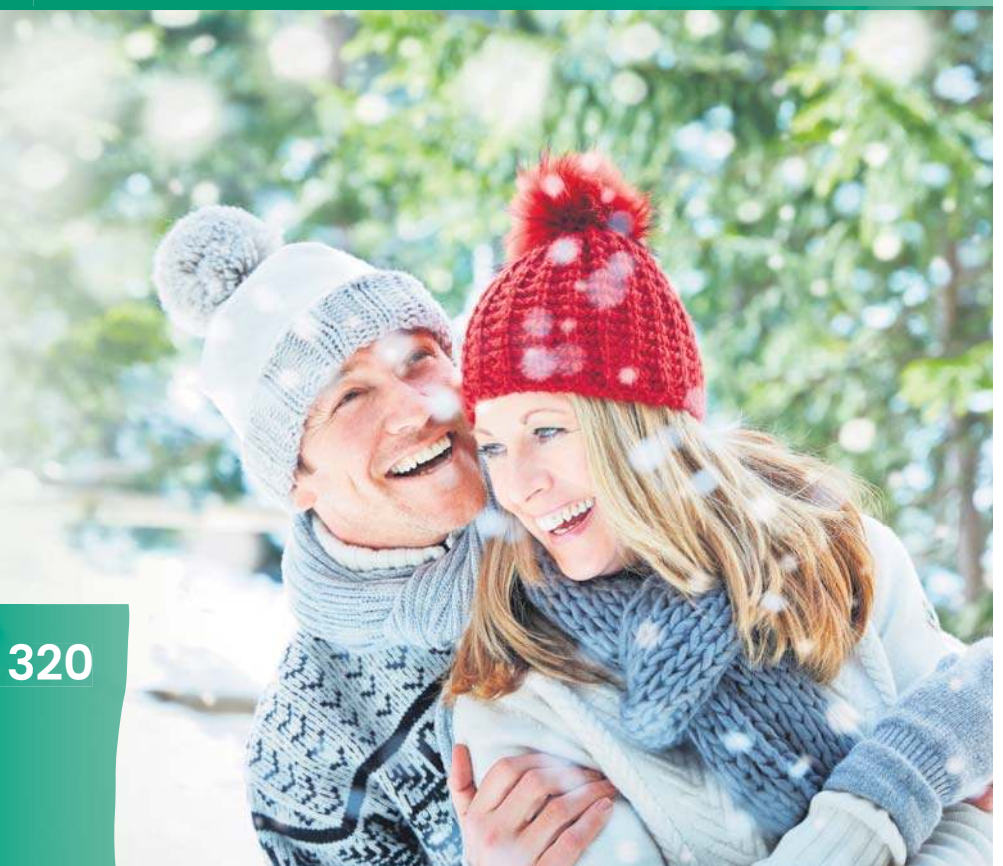
52 35 63 101, 52 35 63 100, 52 35 63 320



medicalspa@solanki.pl, recepcja@solanki.pl



www.solanki.pl



MICHAŁ KACEWICZ: UKRAIŃCY MAJĄ JUŻ ZDECYDOWANIE DOŚĆ TEJ WOJNY

Ale to nie to samo, co chęć zakończenia wojny za wszelką cenę, czyli na przykład za cenę znaczących ustępstw terytorialnych i de facto kapitulacji Ukrainy. 75 proc. Ukraińców jest przeciw oddaniu terytoriów okupowanych, jak mówią sondaże. Oni doskonale wiedzą, co się dzieje na tych ziemiach, kiedy tam postawią swoją nogę Rosjanie. Wiedzą, że dochodzi do anihilacji ludności ukraińskiej. Tak się stało przecież na Krymie po 2014 roku, tak stało się na Donbasie – mówi Michał Kaciewicz, publicysta, redaktor naczelny portalu Centrum Europy

Dorota Kowalska

Michał, jakie nastroje panują na Ukrainie po czterech latach wojny? Co mówią Ukraińcy?

Panują tam złe nastroje. Trudno się dziwić, bo to czwarty rok agresji. Już długość trwania tej wojny przekroczyła okres trwania konfliktu, który na Wschodzie pamięta się najbardziej, czyli II wojny światowej. W przypadku byłego Związku Radzieckiego, to tak zwana wojna ojczyźniana. Niedługo ta wojna przekroczy czas trwania I wojny światowej. Poza tym, w tym roku mieliśmy szczególnie trudną zimę. To była zima rekordowo ciężka z wielu powodów. Po pierwsze, pogoda była niesprzyjająca: mroźna i śnieżna. Po drugie, Rosjanie znaleźli pewien klucz do tego, jak obchodzić ukraińską obronę przeciwlotniczą, czy też jak ją przeciągać, to bardziej precyzyjne sformułowanie. Robią to, niestety, często skutecznie za pomocą falowych, kombinowanych ataków, które są bardzo intensywne, z użyciem kilkuset tak zwanych efektorów: dronów, pocisków manewrujących, rakiet balistycznych. Te ataki przeprowadzane są na bardzo dużym obszarze geograficznym. Rosjanie intensywnie atakują na przykład zachodnią Ukrainę, okolice Lwowa, teren blisko polskiej granicy. Co istotne, Rosjanie znaleźli też klucz do tego, w jaki sposób poważnie uszkadzać ukraińskie systemy energetyczne. Ponieważ ukraińska sieć energetyczna oparta jest na regionalizacji, ma słabe punkty, chociażby podstacje, poszczególne

sieci transformatorowe. Rosjanie, skutecznie atakując różnego rodzaju punkty tej sieci, potrafiliby obezwładnić w dużej części ukraińskie systemy energetyczne. Niestety, celnie uderzają w elektrociepłownię, czyli powodują, że Ukraińcy, zwłaszcza w dużych miastach, nie mają ogrzewania. Zmęczenie wywołują również częste, nocne alarmy lotnicze. Są przyczyną traum, stresu, nerwicy i depresji u dzieci, ale i u dorosłych. W czwartym roku wojny postępuje kumulacja różnych problemów Ukraińców, wywołanych przez rosyjską wojnę prowadzoną przeciwko ludności cywilnej. Rosja całkowicie intencjonalnie i w zaplanowany sposób walczy nie tylko z armią ukraińską, ale i z ukraińskim państwem, społeczeństwem. Stara się to państwo i społeczeństwo zniszczyć.

To społeczeństwo ma już dość?

Ma już dość. Ukraińcy mają już zdecydowanie dość. Ale to nie to samo, co chęć zakończenia wojny za wszelką cenę, czyli na przykład za cenę znaczących ustępstw terytorialnych i de facto kapitulacji Ukrainy. Większość sondaży pokazuje, że tego Ukraińcy nie chcą, ale chcą zakończenia wojny. Na początku zabiegów amerykańskich o to, aby tak się stało, wielu Ukraińców patrzyło na te starania z pewną nadzieją. Oczywiście Trump jest taki, jak jest, już wcześniej było wiadomo, że umizguje się do Putina. Ukraińcy to wiedzieli, ale jednocześnie liczyli na to, że Stany Zjednoczone są po ich stronie. Ten

rok doświadczeń z zabiegami dyplomatycznymi Trumpa pokazuje jednak, że to nie idzie w dobrą stronę.

Ukraińcy to widzą?

Oczywiście, że tak. Panuje przekonanie, że z powodów, powiedzmy, interesownych Trump chce zakończyć wojnę, ale tylko po to, aby zyskać splendor peacemakera, czyli kogoś, kto doprowadzi do pokoju, na tym mu zależy, ale też na dogadaniu się z Rosją, na tym, żeby robić z nią interesy. Ukraińcy doskonale to czytają. Jednocześnie na Ukrainie mają świadomość, że Europa pomaga, ale jednocześnie mają poczucie, że ta europejska pomoc nie idzie w takiej skali i w takim wymiarze, jakby tego oczekiwali. Ukraińcy są rzeczywiście zmęczeni wojną, to bez dwóch zdań. Sytuacja nienormalna, jaką jest stan wojenny, trwająca powiedzmy rok, trwająca dwa lata, była obudowana pewnymi nadziejami. Ukraińcy mieli poczucie, że uda się zatrzymać Rosjan, wygrać w tym sensie, że Rosja będzie zmuszona do oddania terytoriów, które zajęła i kompromis nie będzie z ukraińskiej perspektywy miażdżący, że to nie będzie ka-

pitulacja. Nawet w trzecim roku wojny była taka nadzieja. Ta nadzieja nadal jest, ale ona robi się coraz bardziej, powiedziałbym, realistyczna. Jest coraz większe poczucie, że można wytrzymać jeszcze rok, może i dłużej, ale kraj będzie zrujnowany. I to nie chodzi tylko o budynki, nie chodzi tylko o infrastrukturę, chodzi też o tkankę ludzką, o demografię, krótko mówiąc. Ludzie giną na froncie, ludzie giną w kraju z powodu chociażby gorzej funkcjonującej służby zdrowia, z powodu problemów z energetyką. Ludzie wreszcie wyjeżdżają. Wielu Ukraińców decyduje się na emigrację już nie tylko dlatego, że ucieka bezpośrednio przed zagrożeniem wojennym. Przedstawiciele klasy średniej, wielkomiejskiej, poprzynoszą się do Kijowa, ale też często oni i ci z Kijowa wyjeżdżają za granicę, w tym do Polski. Przenoszą tu swoje biznesy, dochodzą do wniosku, że ta przedłużająca się wojna i perspektywa tego, że będzie trwała długo, powoduje, że oni chcąc normalnego życia i nie mając większych nadziei, że to normalne życie szybko zdarzy się na Ukrainie, organizują je poza ojczyzną.

Jak myślisz, na jakie ustępstwa zwykli Ukraińcy byliby w stanie pójść? Na jaki kompromis? Nie chcą oddać swoich ziem Rosjanom, prawda?

Nie chcą, i to jest całkowicie zrozumiałe na każdym poziomie. 75 proc. Ukraińców jest przeciw oddaniu terytoriów okupowanych, jak mówią sondaże. Oni też doskonale wiedzą, co się dzieje na tych ziemiach, kiedy tam postawią swoją nogę Rosjanie. Wiedzą, że dochodzi tam do anihilacji ludności ukraińskiej. Tak się stało przecież na Krymie po 2014 roku, tak stało się na Donbasie. Aktywni ukraińscy patrioci, którzy nie chcieli widzieć tam Rosji, byli likidowani, aresztowani, znikali. Natomiast większa część ludności, ta pasywna, jest albo wywołana, albo rozrzedzana, mówiąc brzydko, czyli po prostu przyjeżdżają Rosjanie z głębi Rosji, często mieszkańcy mułmańskich, kaukaskich republik Federacji Rosyjskiej, i osiedlają się na tych terenach. Ukraińcy dobrze wiedzą, że Rosjanie mają już do perfekcji niemalże opracowaną procedurę zawłaszczania terytoriów i osiedlania na nich swoich ludzi. Takiego właśnie rusyfikowania, mówiąc wprost, tych terytoriów. Ukraińcy wiedzą, że to mogą być ziemie stracone. Dlatego nie chcą uznania, że te terytoria, które obecnie są okupowane, będą częścią Federacji Rosyjskiej.

Więc na co Ukraińcy są gotowi?

Ukraińcy są gotowi w tym momencie, i to pokazują sondaże,

żeby uznać, iż te terytoria, które zdobyli Rosjanie, są okupowane, ale nie są częścią Rosji. Na przykład sondaż z końcówki ubiegłego roku mówił, że ponad 70 proc. Ukraińców było za zamrożeniem wojny na obecnej linii frontu pod warunkiem uzyskania przez Kijów solidnych gwarancji bezpieczeństwa. Więc rozwiązanie dyplomatyczne polegające na zawieszeniu broni w tym momencie, z uznaniem obecnej linii frontu za linię demarkacyjną i uznaniem, że status terytoriów okupowanych określony będzie w przyszłości, jest całkiem realistycznym ustępstwem ze strony Ukraińców. Oni jednak w większości uważają, że nie jest możliwe dzisiaj odbicie Doniecka, Ługańska, już nie mówiąc o Krymie. Prawdopodobnie nie jest nawet możliwe odbicie wszystkich terytoriów zajętych przez Rosjan po 2022 roku. Więc oni uznają, że należy się na razie zatrzymać, Rosja powinna się cofnąć, ale o statusie tych terytoriów trzeba rozmawiać i negocjować w przyszłości. Ukraińcy nie chcą też, żeby została zdjęta większość sankcji wobec Rosji, bo wiedzą doskonale, że Rosja po zdjęciu sankcji bardzo szybko odbuduje swój potencjał i w krótkim czasie, pewnie w perspektywie roku, dwóch, trzech, czterech lat znowu będzie gotowa do kolejnej agresji na dużą skalę. Ukraińcy nie chcą też zgodzić się z tymi postulatami, które Rosjanie wysuwają w toku negocjacji, żeby doszło do rozbrojenia armii ukraińskiej, bo znowuż wiedzą,



FOT. HANDOUT/AFPEAST NEWS

Kaciewicz: Jest silna presja Donalda Trumpa, a Zełenski zdaje się szukać możliwości przeciągnięcia w czasie negocjacji, by dotrzeć do jesiennych wyborów do Kongresu w USA, które prawdopodobnie osłabią Trumpa

że Rosja jest cały czas nastawiona ekspansywnie i w perspektywie paru lat podejmie się agresji. Rozbrojenie się w tym momencie przez Ukrainę jest kompletną bzdurą. Wreszcie Ukraińcy nie chcą porzucić myśli o tym, że nie wchodzą do struktur zachodnich.

Na przyjęcie do NATO już jednak nie liczą, prawda?

Ukraińcy chyba wiedzą, że nie jest możliwe, aby teraz doszło do integracji z NATO, ale z kolei Unia Europejska jest dla nich arcyważna. Wejście Ukrainy do Unii Europejskiej jest tak naprawdę przyczyną wszystkich późniejszych zdarzeń, przynajmniej z rosyjskiej perspektywy. Rosjanie twierdzą, że w 2014 roku, kiedy doszło do rewolucji na Majdanie, Zachód dokonał przewrotu na Ukrainie. Tymczasem dla Ukraińców 2014 rok jest ważną cezurą, bo to jest moment, w którym ruszyli do walki zbrojnej przeciwko reżimowi Janukowycza, który ich oszukał. Pokazali, że chcą wejść do Unii Europejskiej, że chcą fundamentalnej zmiany swojej kojarzenia na Ukrainie po prostu na takiej zasadzie, że oddają na zawsze Rosji swoje terytoria, że się rozbrajają, że rezygnują z wejścia do Unii Europejskiej, nie będzie zaakceptowane. Nawet najwięksi realisci na Ukrainie się na to nie zgodzą.

Piszesz w swoim tekście: jakie demony wiszą nad Ukrainą? Na pewno korupcja.

Oczywiście, że tak. Powiedziałbym: endemiczna korupcja, systemowa. To nie jest kwestia

łapówek, które są wręczane urzędnikom czy policjantom. To jest cały system podwieszenia gospodarki prywatnej pod chociażby budżet, zamówienia publiczne. To jest system oligarchiczny, który nie polega na tym, że bardzo bogaci ludzie mają udziały w mediach, bankach, przemyśle i rolnictwie. Nie, oligarchowie są zbratani ze światem polityki i kreują ten świat. Finansują wszystkie partie polityczne. I to nie jest tak, że jeden oligarcha finansuje jedną partię, bo najczęściej ci najwięksi finansują w zasadzie wszystkich. Patrząc na to od strony biznesowej, mają udziały we wszystkich partiach politycznych, także tych, których jeszcze nie ma w parlamencie, ale może będą. To jest system, który polega też na tym, że oligarchia swoje największe, najbardziej dochodowe dziedziny gospodarki, które kontroluje, broni przed konkurencją zewnętrzną. To, w jaki sposób niektóre dziedziny przemysłu czy rolnictwa bronią się przed wejściem zewnętrznym graczy, to podstawa tego, w jaki sposób funkcjonuje gospodarka oligarchiczna. Dzięki temu monopolowi mogą dyktować wysokie ceny wszystkim produktom, bo nie mają konkurencji zewnętrznej, mogą się między sobą dogadywać co do tych cen.

Pewnie między innymi dlatego Ukraińcy chcą wejść do Unii Europejskiej?

Tak, Ukraińcy trafnie diagnozują, że wejście do Unii Europejskiej w jakiejś perspektywie czasu wymusi zmianę tego sys-

temu, on po prostu będzie musiał się zmienić. Oczywiście patrząc na takie państwa jak Bułgaria, Włochy nawet, Grecja, czy nawet cały nasz region widać, że nie wszystko da się zmienić błyskawicznie. Pewne patologie jak korupcja, patologie w polityce cały czas funkcjonują, ale jednak nie na taką skalę. Więc Ukraińcy liczą na to, że wejście do Unii Europejskiej, nacisk ze strony Europy na przeprowadzenie reform po jakimś czasie, być może w perspektywie następnej generacji, następnego pokolenia, zmieni Ukrainę. Oni dobrze wiedzą, że jakiegokolwiek pozostanie w strefie neutralnej między Rosją a Europą albo dostanie się, co najgorsze, pod wpływ rosyjskie, nigdy nie zmieni tego systemu. Ten system się utrwali, ten system będzie kwitł, pączkował i się rozwijał.

Jakie jeszcze demony, patrz: problemy, ma Ukraina?

Na pewno dużym problemem jest demografia, to, o czym już wcześniej wspominałem, ogromny odpływ siły roboczej, wyjazd milionów ludzi za granicę. Wysoka śmiertelność, niska rozrodczość, wyludnianie się prowincji, wsi i małych miast. Teraz, pod wpływem wojny, następują fundamentalne zmiany w geografii demograficznej. Rosną miasta takie jak Lwów, takie jak Kijów. Siłą rzeczy ludność ciągnie do tych miast, bo tam jest po prostu bezpieczniej. Nawet jeżeli pojawiają się problemy z energią, to jednak one są tam szybciej rozwiązywane. No i rynek pracy jest większy.

Chcesz powiedzieć, że wyludnia się prowincja?

Wyludnia się wschodnia Ukraina, bo to region, który bezpośrednio sąsiaduje ze strefami walk. Drugie miasto na Ukrainie przed wojną – Charków, nominalnie nim pozostaje, ale już nim nie jest. Wyludniają się na pewno miasta duże, przemysłowe, istotne dla ukraińskiej gospodarki: Zaporozże, Dnipro, Mikołajów, czy nawet Odessa. Przed wojną to była gospodarka i demograficzna oś Ukrainy od Kijowa do Morza Czarnego. Z kolei teraz rosną miasta na zachodniej Ukrainie, na Zakarpaciu. Tam nieruchomości drożeją, bo jest bezpiecznie, bo jest blisko państw europejskich. Jedyny obwód, gdzie nie ma godziny policyjnej, to właśnie Zakarpacie. Rośnie też zachodnia Ukraina, Lwów, ale też inne miasta na tym terenie, bo oceniane są jako bezpieczniejsze, jako lepsze do życia, jako sąsiadujące bezpośrednio z Polską. We Lwowie rozwija się budownictwo, ceny nieruchomości rosną. Więc mamy swojego rodzaju przesunięcie demograficzne. Dawniej, przed wojną, za duże miasta, minimetropolie uznawane były ośrodki w centrum, na wschodzie i na południu Ukrainy. Obecnie za bardziej atrakcyjną postrzegana jest zachodnia Ukraina, która wcześniej dla mieszkańców centrum i wschodu była jednak trochę prowincjonalna.

Myślisz, że Ukrainę da się jeszcze odbudować?

To będzie wymagało ogromnych nakładów i środków, to

raz. To będzie wymagało też pomysłu na to, jak odbudować ten kraj. Sami Ukraińcy powtarzają, że oni nie chcą, żeby było jak przed wojną. Jeśli chodzi o infrastrukturę, chcą, żeby było lepiej, nowocześniej, tak jak w Europie. Na pewno będzie to okazja do takiej zmiany, także w sensie jakości infrastruktury. Pewnie powstaną nowoczesne budynki w miejscach tych w dużej mierze jednak starych, zniszczonych, często posowieckich. Dojdzie na pewno do fundamentalnych zmian, ale kluczowe jest pytanie, kto tak naprawdę ma odbudowywać ten kraj? Nie w sensie inwestorów, bo tacy się być może znajdą, nie w sensie funduszy inwestycyjnych czy państwowych, czy prywatnych, bo one istnieją i interesują się kwestią odbudowy, wszyscy politycy europejscy o tym rozmawiają. Chodzi o ludzi, tutaj znowu wracamy do demografii, kto miałby to zrobić? Czy liczymy na to, że Ukraińcy z Zachodu, głównie z Polski, wrócą na Ukrainę i będą pracowali przy odbudowie Ukrainy? Nie wiem, czy tak będzie.

Właśnie, bo jest pytanie, czy ci Ukraińcy, którzy wyjechali i już się zdomowili w Polsce, w Niemczech, w USA, Kanadzie, będą chcieli wrócić na Ukrainę?

Nie wiem. Różne badania opinii na ten temat nie są tak naprawdę w stanie zdiagnozować, jak będzie naprawdę. Dzisiaj deklaracje: „wróć”, „nie wróć” nie są wiarygodne. Myślę, że ludzie takie decyzje będą podejmowali za jakiś czas. Wszystko będzie zależało od tego, jak długo ta wojna jeszcze potrwa i jak się skończy, jak będzie wyglądała rzeczywistość po tej wojnie. Czy Ukraina będzie stabilna, z tą perspektywą europejską, odbudową, którą wszyscy obiecują, czy przeciwnie, na Ukrainie po wojnie dojdzie do chaosu politycznego, bratobójczej walki o władzę. I dalej: odbudowy żadnej nie będzie, nie będzie perspektywy europejskiej, bo to też, niestety, trzeba brać pod uwagę. Ten czarny scenariusz, w którym Rosja będzie cały czas mieszała, wpływała, próbowała postawić jakiegos swojego pionka w Kijowie u władzy – może przecież się zdarzyć.

Ukraińcy na to pozwolą?

Oczywiście, część Ukraińców będzie temu przeciwna i dojdzie do jakiegos konfliktu. Jeżeli tak potoczy się sytuacja, to myślę, że większość rozsądnych ludzi, którzy mieszkają chociażby w Polsce, mają tu swoje biznesy, pracują, ich dzieci chodzą do polskich szkół, krótko mówiąc: jakoś ułożyli sobie tu życie, nie zdecydują się na ten powrót. Nie ma takiej siły. Normalny ludzki wybór, ludzkie decyzje.

Myślisz, że w tym roku wojna się skończy?

Nie wiem. Nie jestem wróżem. Nie mam zdolności, żeby to dzisiaj przewidzieć. Na chwilę obecną wszystko wskazuje na to, że wojna będzie się przeciągała, być może do końca tego roku. Oczywiście Donald Trump mówi o czerwcu, mówi się o negocjacjach, które mają się niedługo skończyć, o tym, że Zełenski ma ogłosić wybory. Tyle tylko, że Rosja nie osiągnęła żadnych swoich celów, a Ukraina nie ma perspektywy sprawiedliwego pokoju, a jednocześnie siły obu stron, chociaż są mocno nadwątlone, wciąż walczą. Rosjanie mają coraz większe problemy z rekrutami i z pieniędzmi na prowadzenie wojny i te problemy będą coraz większe. Ukraina też ma problem z tym czasami zbyt wolno dostarczaniem sprzętem, ale jednocześnie potrafi dużą część nowoczesnych dronów czy niektórych pocisków produkować sama. To powoduje, że nie ma chyba czynników, które jednoznacznie przesądzałyby, że już teraz musi dojść do zakończenia wojny. Nie ma też żadnej sytuacji przełamania na froncie. Ten front jest stabilny. Najbardziej niewralgicznym odcinkiem jest ten południowy, zaporoski, na którym, jak sądzę, ale mówią to także eksperci, Rosjanie będą próbować atakować. Oni się tam mocno aktywizują w atakach. Tu Ukraińcy będą musieli przesuwać obronę i umacniać ją właśnie na odcinku zaporoskim. Ale czy są perspektywy na jakieś przełamanie frontu? Podobnie jak wiele razy mówiłem w zeszłym roku, tak powiem to teraz: nie widać takich perspektyw. Oczywiście, na wojnie wszystko może się zdarzyć, różne czynniki wpływają na to, jak ta wojna może się potoczyć, może będziemy świadkami czegoś zupełnie niespodziewanego. Jest silna presja Donalda Trumpa, a sam Wołodymyr Zełenski zdaje się szukać możliwości przeciągnięcia w czasie negocjacji, by dotrzeć do jesiennych wyborów do Kongresu w USA, które prawdopodobnie osłabią Trumpa. Na czas gra i Putin – nie chce zakończenia wojny bez umownej kapitulacji Ukrainy. Stąd np. delegował do negocjacji po nownie Władimira Miedinskiego, twarogłowego nacjonalistę, który raczej utwardzi stanowisko rosyjskie i odejdzie od transakcyjnego podejścia na rzecz ideologicznego. Dzisiaj, gdybym miał stawiać, to jednak bardziej ostrożnie, ale stawiałbym na to, że ta wojna będzie trwała przynajmniej kilka najbliższych miesięcy: do lata, być może do jesieni. Nie wygląda na to, żeby doszło do szybkiego jej zakończenia.

IRAN STRASZY W CIEŚNINIE ORMUZ, USA BUDUJĄ PIĘŚĆ UDERZENIOWĄ

Irański Korpus Strażników Rewolucji Islamskiej rozpoczął ćwiczenia w Cieśninie Ormuz, a USA wzmacniają swoją obecność wojskową w regionie. Obie strony szykują się do wojny

Grzegorz Kuczyński

Lnów rośnie napięcie na Bliskim Wschodzie. Tym razem wokół Iranu. Od dłuższego czasu Stany Zjednoczone ściągają w jego sąsiedztwo wojsko, przesunęły tam m.in. dwa swoje lotniskowce. Z kolei Iran zamknął możliwość pływania poprzez Cieśninę Ormuz (kluczowa z perspektywy eksportu ropy naftowej z Bliskiego Wschodu), gdyż urządził tam - wspólnie m.in. z okrętami z Rosji i Chin - ćwiczenia morskie.

To wszystko składa się w jednoznaczny sugestię: w najbliższym czasie może dojść do konfliktu zbrojnego w tym regionie.

- Proszę natychmiast opuścić (...) Iran i w żadnym wypadku nie wybierać się do tego kraju - zwrócił się premier Donald Tusk do Polaków przebywających w tym państwie lub planujących wyjazd tam.

Podczas konferencji prasowej na poligonie w Zielonce szef rządu zaznaczył, że nie chce nikogo straszyć, ale możliwość „gorącego konfliktu” w Iranie jest bardzo realna. Dodał, że za kilka, kilkanaście czy kilkadziesiąt godzin „ewentualność ewakuacji nie będzie wchodziła w rachubę”.

Premier zaapelował o poważne potraktowanie tej prośby i ponownie podkreślił, że w sytuacji „gorącego konfliktu” nikt nie będzie w stanie zagwarantować polskim obywatelom możliwości ewakuacji.

Kluczowa cieśnina

Trump wielokrotnie groził, że uderzy na rząd Iranu za brutalne stłumienie masowych protestów antyrządowych.

- Trump mówi za dużo, ale zapewniamy go, że spotka się z odpowiedzią na polu bitwy - powiedział dowódca Sił Powietrznych Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej



Wspólne ćwiczenia morskie wojsk Iranu i Rosji. W ten sposób ajatollahowie zareagowali na groźby USA

(IRGC) generał brygady Majid Mousavi. Irańscy urzędnicy grożą, że w przypadku ataku na Iran uderzą na amerykańskie bazy na sąsiednim Półwyspie Arabskim. Czy to jedyna opcja odwetu irańskiego na możliwe uderzenie USA?

Prawdopodobna reakcja Islamskiej Republiki na atak USA nie będzie przypominała konwencjonalnej wojny między państwami. Strategia Teheranu od dawna opiera się na asymetrii, zaprzeczaniu i stopniowej eskalacji, czyli modelu mającym na celu podwyższenie kosztów dla przeciwników, przy jednoczesnym uniknięciu decydującej konfrontacji, której Iran może nie być w stanie całkowicie wygrać.

Jednym z najczęściej wymienianych źródeł przewagi Iranu jest Cieśnina Ormuz, wąska droga wodna, przez którą przepływa znaczna część światowych dostaw ropy naftowej. Chociaż Iran prawdopodobnie nie podejmie próby całkowitego i trwałego zamknięcia cieśniny, co prawie na pewno wy-

wołałoby zdecydowaną reakcję międzynarodową, zachowuje on możliwość sporadycznego zakłócania żeglugi.

Miny morskie, szybkie łodzie bojowe, drony i ataki rakietowe mogą spowodować wzrost kosztów ubezpieczenia, wywołać niepokój na rynkach i zaszykalizować zdolność Iranu do zagrożenia globalnym przepływom energii bez nieodwracalnego przekroczenia czerwonej linii.

Takie działania byłyby raczej wyważone niż maksymalistyczne. Teheran rozumie, że całkowite zablokowanie Cieśniny Ormuz spowodowałoby zrażenie nie tylko mocarstw zachodnich, ale także Chin i innych państw, na których opiera się dyplomatycznie i gospodarczo. Zakłócenie, a nie zamknięcie, pozostaje bardziej prawdopodobnym narzędziem, jakim dysponuje Teheran.

Najważniejsza oś oporu

Oprócz presji morskiej Iran prawie na pewno będzie dążył do aktywizacji swojej regionalnej sieci sprzymierzonych grup zbrojnych. Chociaż ci sojusznicy zostali osłabieni przez niepowodzenia wynikające z wojny między Izraelem a Hamasem, nadal zapewniają Teheranowi pewną strategiczną głębię i elastyczność, umożliwiając ataki na interesy USA i sojuszników, przy jednoczesnym zachowaniu pewnego

stopnia wiarygodnego zaprzeczenia.

Milicje szyckie w Iraku należą do najbardziej prawdopodobnych uczestników odwetowej operacji. Sekretarz generalny wspieranej przez Iran irackiej milicji Kataib Hezbollah, Abu Hussein al Hamidawi, oświadczył, że oś oporu będzie wspierać Iran przeciwko Izraelowi i Stanom Zjednoczonym. Wezwał bojowników Kataib Hezbollah do „przygotowania się”.

Ataki na bazy amerykańskie w regionie wiążą się z mniejszym ryzykiem eskalacji niż ataki na Izrael lub państwa Zatoki Perskiej, a grupy te wykazały już wcześniej gotowość do atakowania personelu amerykańskiego za pomocą rakiet i dronów w okresach wzmożonego napięcia.

W dalszej perspektywie ruch Huti w Jemenie mógłby również wnieść swój wkład, atakując transport morski lub infrastrukturę regionalną, zwiększając presję na kluczowych szlakach handlowych. Huti opublikowali 25 stycznia film przedstawiający ich atak ze stycznia 2024 r. na brytyjski tankowiec z podpisem „wkrótce”.

W centrum każdej irańskiej odpowiedzi znalazłby się sam IRGC - nie tylko jako siła zbrojna, ale jako ideologiczny i gospodarczy filar Islamskiej Republiki. Doktryna tej siły kła-

dzie nacisk na wytrzymałość, decentralizację i opór, a nie na zwycięstwo na polu bitwy.

Atak zewnętrzny niemal na pewno wzmocniłby pozycję IRGC w kraju. Instytucje cywilne i frakcje technokratyczne zostałyby jeszcze bardziej odsunięte na bok, a narracja o obronie narodowej zostałaby wykorzystana do uzasadnienia zaostrzenia kontroli wewnętrznej. Historycznie rzecz biorąc, IRGC reagowało na presję zewnętrzną spójnością, a nie fragmentacją.

Czego chcą Amerykanie?

W ramach międzynarodowego porozumienia z 2015 r. - znanego jako Wspólny kompleksowy plan działania (JC-POA) - Iran zgodził się ograniczyć wzbogacanie uranu do 3,67 proc. w zamian za złagodzenie sankcji, a także zezwolił MAEA na szerszy dostęp do monitorowania swoich obiektów jądrowych.

Jednak po wycofaniu się poprzedniej administracji Trumpa z porozumienia w 2018 r. (USA twierdziły, że Teheran nie przestrzega umowy) Iran zintensyfikował działania związane ze wzbogacaniem uranu i ograniczył dostęp MAEA do niektórych obiektów.

W grudniu 2024 r. MAEA ostrzegła przed planami Iranu dotyczącymi „dość radykalnego” zwiększenia zapasów

uranu o jakości zbliżonej do broniowej. Raport opublikowany w lutym 2025 r. wykazał, że wzbogacony uran Iranu osiągnął 60 proc. czystości - zbliżając się do 90 proc. wymaganych dla materiału broniowego.

Stany Zjednoczone naciskają na zawarcie porozumienia, na mocy którego Iran: zaprzestałby wzbogacania uranu, ograniczył program rakiet balistycznych i przestał wspierać swoich regionalnych sojuszników. Dodatkowo Trump już wcześniej zapowiadał, że USA zareagują, jeśli Teheran będzie krwawo tłumił protesty we własnym kraju. Reżim ajatollahów tym się nie przejął. W wyniku represji rządowych wobec protestujących od grudnia Irańczyków zginęły tysiące osób. Niektóre szacunki mówią nawet o ponad 30 tys. ofiar.

Pierwsza runda pośrednich rozmów między Teheranem a Waszyngtonem odbyła się 6 lutego w stolicy Omanu, Maskacie. Druga odbyła się w tym tygodniu w Genewie. Nie przyniosła efektu. Rzeczniczka Białego Domu Karoline Leavitt podsumowując wynik negocjacji, stwierdziła, że mimo pewnego postępu, stanowiska USA i Iranu są wciąż bardzo rozbieżne. Zaznaczyła, że prezydent Trump ma do podjęcia decyzję w sprawie ewentualnego uderzenia na Iran.

Stacja CBS News podała w środę, że Pentagon przenosi tymczasowo do Europy i USA część personelu z Bliskiego Wschodu w związku z możliwym amerykańskim atakiem na Iran i potencjalnym odwetem ze strony Teheranu. Czołowi doradcy ds. bezpieczeństwa prezidenta Trumpa powiedzieli mu, że wojsko będzie gotowe do potencjalnych uderzeń na Iran już w sobotę, lecz zapewne ewentualne ataki nie zostaną przeprowadzone w ten weekend - przekazały źródła, zaznajomione z przebiegiem rozmów na ten temat.

Według śródowej publikacji portalu Axios, Trump coraz bardziej skłania się ku atakowi na dużą skalę przeciwko Iranowi, a opowiadający się za tą opcją Izrael przygotowuje się na wybuch wojny w ciągu kilku dni. W następnej publikacji portal uznał, że USA i Iran stoją na krawędzi wojny. PAP

**USA CHCĄ, BY IRAN ZAPRZESTAŁ
WZBOGACANIA URANU, OGRANI-
CZYŁ PROGRAM RAKIET BALI-
STYCZNYCH I PRZESTAŁ WSPIE-
RAĆ SOJUSZNIKÓW W REGIONIE**



WYPASIONE

Gorrrące nowości (nie tylko) na zimę.



1 litr

mleko smakowe



mlekovita



mlekovita_pl



www.mlekovita.com.pl

BEZ NIESPODZIANEK: POLSKA 2050 W ROZSYPCE

Klub parlamentarny Polska 2050 przestał istnieć. Paulina Hennig-Kłoska, wraz z grupą posłów, ogłosiła, że odchodzi z partii i zakłada własny klub. - To oczywiście niezwykle trudna dla nas decyzja, ale nie widzimy przestrzeni do realizacji tych postulatów w obecnym ugrupowaniu, klubie parlamentarnym. Bardzo wiele państwo mogliście ostatnio przeczytać, wysłuchać na ten temat. To oczywiście z jednej strony brak przestrzeni do dialogu, do partnerskiej współpracy - mówiła minister klimatu i środowiska.

Razem z nią Polskę 2050 opuściło 17 polityków. Nowy klub będzie nosił nazwę „Centrum”.

- To chyba dobry moment, żeby powiedzieć, że klub parlamentarny będzie nazywał się Centrum, bo centrum to miejsce, gdzie spotykają się ludzie, w którym wypracowują dobre kompromisy i odnoszą sukcesy. Chcemy, by Polska była w centrum naszej pracy, centrum naszej uwagi, ale też dlatego, że centrum to jest miejsce, gdzie zdobywasz równowagę i stawiasz przeciwwagę do skrajności, których w Polsce mamy w ostatnich latach zdecydowanie za wiele - powiedziała Hennig-Kłoska.

Tak naprawdę kryzys w partii trwał od wielu tygodni. Po wygranej w wyborach na szefa Polski 2050 Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz - wyborach, które trzeba było powtórzyć - spory jeszcze przybrały na sile. Wiadomo było, że w partii ścierają się ze sobą dwa środowiska - te skupione wokół Pauliny Hennig-Kłoski, która wewnątrzpartyjne wybory przegrała i wokół Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz.

Ci pierwsi zarzucali Pełczyńskiej-Nałęcz, nowej liderce, niedemokratyczny styl zarządzania, cenzurę i autorytarne zapędy. Przypomnijmy, że w sobotę na Radzie Krajowej Polski 2050 przyjęto uchwałę blokującą zmiany w klubie parlamentarnym, do czasu partyjnego zjazdu zaplanowanego na koniec marca. Władze ugrupowania przekonywały, że decyzja ma uspokoić wewnętrzny konflikt, jednak część polityków ocenia ją jako próbę zablokowania zmian personalnych w kierownictwie klubu.

Może dlatego w ostatnich dniach z partii odeszli poseł Żaneta Cwalina-Sliwowska, europoseł Michał Kobosko, Paweł Zalewski, wiceminister Anna

Od dłuższego czasu mówiło się, że w Polsce 2050 dojdzie do rozłamu i partia Szymona Hołowni w końcu się rozpadnie.

Tak też się stało, bo choć partia formalnie istnieje, to tak, jakby jej nie było. Najważniejsze pytanie: co teraz z koalicją 15 października? Premier Donald Tusk zapewnia, że politycy Polski 2050 mają pozostać lojalni wobec rządu

Dorota Kowalska



Jeszcze niedawno byli uściski i uśmiechy. Dziś Paulina Hennig-Kłoska (z prawej) odchodzi z klubu

Radwan-Röhrenscheff i Joanna Mucha.

„Podjęłam decyzję o rezygnacji z członkostwa w partii Polska 2050 Szymona Hołowni i w klubie parlamentarnym. Pozostanę posłanką niezależną. Dziękuję moim koleżankom i kolegom z partii za pięć lat wspólnej pracy. Bardzo żałuję, że tak się ona kończy” - napisała ta ostatnia na swoim koncie na platformie X.

Do perturbacji w partii koalicjanta odniósł się premier Donald Tusk. Podkreślił, że rozmawiał z obydwoma politykami, które zapewniły, że pozostają lojalne wobec rządu.

- Większość parlamentarna, czyli Koalicja 15 Października pozostanie stabilna na najbliższe miesiące i lata. Na pewno do następnych wyborów - powiedział szef rządu.

Dodał, że „nie takie wstrząsy na scenie politycznej światowej, europejskiej i polskiej przetrwaliśmy w bardzo dobrej kondycji”.

- Więc chcę państwa zapewnić i zagwarantować, że na-

stępne miesiące i lata to też będzie czas stabilnego, ambitnego rozwoju - mówił premier.

Mówiąc szczerze, takiego obrotu sprawy spodziewali się niemal wszyscy obserwatorzy polskiej sceny politycznej i sami politycy, chociaż może ci z koalicji rządzącej otwarcie o tym nie mówili. Notowania Polski 2050 były dramatycznie złe, zamieszanie wokół Szymona Hołowni też zrobiło swoje.

- Tak wygląda koniec. Jedynie, nad czym można się zastanawiać, to to, czy ta formacja jako całość zasili listy Koalicji Obywatelskiej, czy też jednak wznowią się tam podziały wewnętrzne i na listy KO, być może niektórych innych partii będą trafiać osoby z poszczególnych środowisk Polski 2050.

Ta partia nie wpisała się w żaden istotny konflikt dzielący polskie społeczeństwo. W wymiarze programowym była w zasadzie kopią Platformy Obywatelskiej. Przy tym była niespójna, bo z jednej strony prezentowała treści bardzo liberalne ekonomicznie, z dru-

giej czasami odmienne. Z jednej strony był Szymon Hołownia z jego silnym katolicyzmem i brakiem jednoznacznych odpowiedzi na pytania związane z konfliktami kulturowymi, z drugiej zaś strony były tam polityczki o bardzo liberalnych przekonaniach w tej materii - mówił mi trzy tygodnie temu prof. Rafał Chwedoruk, politolog.

I dodał, że wszystkie tego typu ugrupowania jak ruch Kukiza, jak partia Ryszarda Petru, który czy wcześniej Janusza Palikota kończyły w podobny sposób.

- W przypadku ruchu Szymona Hołowni różne ukłony w stronę konserwatywnych wyborców, w nadziei na to, że uda ich się do siebie przyciągnąć, rozczarowały liczne grono dawnych zwolenników Platformy, którzy głosowali na Polskę 2050, a potem już było za późno - ocenił prof. Chwedoruk.

A to prof. Antoni Dudek: „Myślę, że tak, że tego projektu, niezależnie od tego, kto ostatecznie zostanie liderem czy li-

derką, nie da się już uratować w rozumieniu takim, że ta formacja nie wejdzie samodzielnie do następnego Sejmu. Oczywiście trzydziestu posłów może jeszcze jakiś czas tworzyć klub Polski 2050, zanim się rozjedzą do innych formacji, głównie do Koalicji Obywatelskiej. Natomiast moim zdaniem to jest już masa upadłościowa, która wszakże może być poddana procesowi sanacji w ramach innego projektu politycznego”.

Pytanie: dlaczego Polsce 2050 się nie udało? Jeszcze cztery lata temu, w 2021, notowania Ruchu Polska 2050 szły w górę, sięgały nawet 19 procent poparcia. Ruch był liderem na opozycji, a działał na polskiej scenie politycznej zaledwie od roku. Z czasem do Hołowni zaczęli zresztą dołączać politycy Koalicji Obywatelskiej. Przyszedł jednak lipiec 2021 roku i do polskiej polityki wrócił Donald Tusk. Ten powrót wszystko zmienił. Notowania Hołowni zaczęły piko- wać w dół.

W kwietniu 2023 roku lider Polski 2050 ogłosił oficjalnie, że do wyborów parlamentarnych idą razem z ludowcami pod nazwą Trzecia Droga. Z czasem stało się jasne, że gdyby ugrupowania Hołowni i Kosiniaka-Kamysza weszły do Sejmu, zdobyły znaczące poparcie. Prawo i Sprawiedliwość mogłoby nie uzyskać większości. Zdawali sobie z tego sprawę liderzy innych ugrupowań opozycyjnych. Na swój sposób wspierali Trzecią Droga.

Przyszedł 15 października 2023 roku. Wynik Trzeciej Drogi zaskoczył nawet jej liderów - 14,40 procent poparcia, tego nie spodziewali się najwięksi optymiści.

Kosiniak-Kamysz został wicepremierem i szefem MON, Szymon Hołownia marszałkiem Sejmu. Ale ten czas minął, a popularność Hołowni nie przełożyła się na notowania

Polski 2025 czy też Trzeciej Drogi. W końcu liderzy ogłosili koniec koalicji.

A sam Szymon Hołownia zaczął zaskakiwać. Po przegranych wyborach prezydenckich, w których wyprzedził go nie tylko Karol Nawrocki, Rafał Trzaskowski i Sławomir Mentzen, ale i Grzegorz Braun, spotkał się w mieszkaniu Adama Bielana z Jarosławem Kaczyńskim, czym wywołał polityczną burzę. Potem wspominał, że namawiano go do przeprowadzenia zamachu stanu i niezaprzyśiężenia Karola Nawrockiego, wprawiając w osłupienie koalicjantów. W końcu poinformował, że złożył aplikację w publicznym naborze ogłoszonym przez Sekretarza Generalnego ONZ Antonio Guterresa na funkcję Wysokiego Komisarza ONZ ds. Uchodźców. Konkursu jednak nie wygrał.

Jak podkreślają politolodzy: nie rozbudował też struktur partii w terenie, wysłał Michała Kobosko do Brukseli, a był to jedynie polityk, który panował nad kwestiami organizacyjnymi w partii, nie różnił się niczym od Koalicji Obywatelskiej, popełnił masę osobistych, politycznych błędów. Efekt? Partia zaczęła mu się rozłazić w rękach.

Kolejne pytanie, może ważniejsze od tego, dlaczego Polska 2050 się rozpadła, brzmi: co teraz z koalicją? Jak zapewnia Donald Tusk, koalicja trwa, a obie liderki zapewniły go o lojalności i współpracy.

- Politycy i polityczki, którzy zaczęli się wahać i sabotować większość koalicyjną, mogliby utorować drogę do przedterminowych wyborów, a oni byliby pierwszą ofiarą takich wyborów. Prawica nie dałaby im przecież biorących miejsc na listach, zresztą wyborcy prawicowi raczej nie oddaliby na nich głosów, po tej stronie byliby spaleni. Raczej spodziewam się akcji małego sabotażu, czyli takich, które nie wywrócą koalicji, a które będą usiłowały wymuszać na KO i Nowej Lewicy jakieś korzystne dla Polski 2050 rozstrzygnięcia. I nic poza tym - mówił mi ostatnio prof. Rafał Chwedoruk.

Bo też tak naprawdę posłowie i posłanki nie garną się do wcześniejszych wyborów. Dla większości z nich te wybory kończą się traumą. Dwa precdensy, jakie zdarzyły się w polskiej demokracji po 1989 roku, przyniosły autorom przedterminowych wyborów polityczne katastrofy. I wszyscy to zapamiętali.

PULS

#204

Jak igła
w stogu
DNA
Str. 14-15



Leszek Waligóra

MILCZENIE
JEST TOMBAKIEM

Jedna milczała. Inna mówiła aż za prosto. Kolejna była bardziej dystygnowana niż mąż. Jeszcze inna mówiła co innego niż mąż. I nigdy, ale to nigdy nie było takiej, która zadowoliliby wszystkich. Tylko dawno, dawno temu niewielu miało potrzebę wyrażania, jak bardzo im nie w smak Pierwsza Dama. Pierwsza Dama. Stanowisko, do którego nie dorośliśmy jako społeczeństwo, jako państwo i którego nazwa zresztą nijak nie pasuje do pełnionej funkcji.

Piję do Marty Nawrockiej, żony miłościwie nam klóćącego się z rządem prezydenta. Na którą spadły gromy za to, że i za to, jak udzieliła wywiadu. I już wiadomo, że powinienem być przeciwko, bo nie podobają mi się niektóre poglądy i zachowania jej męża. Ba, nawet większość. Tylko, na miły Bóg, co z tego? Gdyby sam fakt, że się z kimś nie zgadzamy, dawał nam prawo do dyktowania, kiedy ma mówić, a kiedy nie, wszyscy bylibyśmy niemowami. Gdyby fakt, czy ktoś mówi pięknie, czy niepięknie, miał decydować - to przed każdą wypowiedzią musiałaby zbierać się Rada Języka Polskiego. Która ponoć ma zdecydować, że nieistniejące słowo „wziąć” stanie się równoprawne z „wziąć”. Ale ja nie o języku i poglądach. Ja o Pierwszej Damie, która w Polsce, jak wszystkie stanowiska małżonków znanych postaci, ma pecha.

Bo Pierwsza Dama - lub Pierwszy Mąż, którego się w końcu kiedyś też dorobimy - nie wspina się po szczeblach kariery politycznej. Jak długa by nie byłaby ścieżka polityczna współmałżonka, Pierwsza Dama pokonuje ją w tempie ekspresowym i to dopiero na samym jej końcu. Kariera polityczna Karola Nawrockiego była króciutka. W rok przeskoczył ze stanowiska urzędnika na polityka, a jego małżonka - w trzy miesiące kampanii - z żony urzędnika, na żonę prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Co równa się z porzuceniem całej ścieżki zawodowej i przejście z miejsca na stanowisko pani od stania za plecami, rozdawania uśmiechów, przecinania wstęg, działalności charytatywnej i dyplomatycznej. Tak, dyplomatycznej też, bo w czasie wizyt międzypaństwowych staje naprzeciw Pierwszym Damom, które mogą mieć o wiele większe obycie i przygotowanie polityczne. Nie od parady o żonie Barracka Obamy, Michelle, mówiło się, że sama może zostać prezydentem. Ale co by było, gdyby Barrack zakochał się i ożenił z cudną dziewczyną z wykształceniem ledwie podstawowym? Prosta dziewczuchą, albo rozszczębiotaną artystką kabaretową. Albo niemową? Czy ma się rozwodzić dlatego, że sam osiągnął polityczny szczyt, którym nie podążała współmałżonka, niepasująca do wizji - nieprawdziwej - pomnikowej męża stanu?

Nawet politycy, nawet przez nas nielubiani, chodzą na randki, zakochują się, a nawet, o rany, uprawiają seks! Mnóstwo z tych rzeczy robią, nie patrząc w zawodowe CV kandydata na małżonkę lub małżonka. Od żony chirurga nie wymaga się, aby umiała wyciąć wyrostek, od męża aktorki nie wymaga odgrywania Otella, a współmałżonek finansisty nie musi nawet wiedzieć o istnieniu prawa Kopernika-Greshama. A my zwyczajnie okazalibyśmy się ostatnimi chamami, oczekując od zakochanych w sobie ludzi, że będą mieli odpowiadający sobie status edukacyjny, ekonomiczny, społeczny i polityczni. Ani nawet tego, żeby byli zgodni. Albo, żeby będąc niezgodni, dawali temu upust publicznie. Jeśli więc Pierwsza Dama mówi nieładnie, brzydko, nie umie się wysłowić, albo nie podobają nam się jej poglądy - to nie jej problem. Jej nikt nie wybierał.

A prawdziwą pierwszą damą pozostaje, przez nie wiem już którą kadencję, Beata Tyszkiewicz. I jak ktoś z tym chce dyskutować, niech zamilknie na zawsze.

Adam Bula

WŚCIEKLICA
IS COMING

Słało się, jak zapowiadałem. Wszyscy posłowie PiS dostali najwyraźniej rozkaz kręcenia i publikowania w social mediach przynajmniej jednej rolki z partyjnym przekazem dnia. Większości partia pomaga jeszcze w nagraniu, ale akcja rozpędza się błyskawicznie. Przez najbliższych 19 miesięcy, aż do wyborów, po każdym odpaleniu internetu zaatakuję cię ich agresywny bełkot.

Agresywny bełkot to dość mocne określenie (jeśli nie można sięgnąć po soczyste przekleństwa), ale oddaje w pełni drugą istotną zmianę z ostatnich tygodni: totalne już odkręcenie korby. PiS sięga po języki i argumenty, które nie zostawiają żadnego pola do dyskusji. Wychodzi poseł PiS i mówi: ziemia jest płaska, a program SAFE zły dla Polski. Dostaje setki zwrotnych z mozołnym wskazywaniem, że może jednak nie. Co robi pan poseł: wyrzuca wszystkie globusy do kosza i mówi: ziemia jest płaska, a „Tusk kłamie, nawet kiedy oddycha”.

W PiS, pozostającym pod presją spadkowych sondaży i rosnącej popularności partii Brauna, zdecydowano się na opcję: full sekta. Wyznaniem wiary jest w niej nienawiść do rudego Tuska, treścią - negowanie wszystkiego, co rząd robi, bo przecież on tylko robi Polsce i Polakom katastrofę, a coniedzielną komunią: antyniemiecka fobia wciskana gdzie się da. FAKTY NIE MAJĄ ŻADNEGO ZNACZENIA. Partia stawia na tworzenie jak największego strumienia jak najbardziej nienawistnych treści w nadziei, że przynajmniej część z grona oszołomionych, mimowolnych odbiorców uda się w nich utopić.

Jak to wygląda? Najpierw oberlejtnauci propagandy. Poseł Matecki zamieszcza filmik, na którym premier Tusk, tuż po przyjęciu przez Sejm programu SAFE, wysłał SMS do ambasadora Niemiec, „meldując wykonanie rozkazu”. Wygenerowany przez AI fejk jest marnej jakości, ale wystarczy, by prowadzoną m.in. przez Mateckiego armię internetowych trolli i botów rzucić do jego rozpoznawania. Efekt: ordynarne kłamstwo posła na Sejm RP (!!!) ma 100 razy większy zasięg w sieci niż najlepiej udokumentowany wpis, że filmik z Tuskiem to kłamstwo (choćby dlatego, że Tusk pisze SMS na telefonie bez klawiatury).

Pamiętacie prezydenta Nawrockiego, jak na początku stycznia tłumaczył, że zawetował nowelizację ustawy, wdrażającą do polskiego prawa przepisy unijnego aktu o usługach cyfrowych, bo broni wolności słowa. Wyrzucając do kosza narzędzia do walki z dezinformacją, obronił też wolności do bezkarności dla takich akcji, jak ten syf od Mateckiego. No ale tego już wam pan Karol nie dopowiedział.

Większość polityków PiS radzi sobie z AI na razie słabo, ale przecież befehl ist befehl. Sieć zalewa więc potop generowanych przez AI grafik z hasłem przewodnim: rudy złodziej prowadzi kraj do katastrofy. Że napisy na tych grafikach są najczęściej w języku będącym mieszkanką słów polskich, zapisanych po czesku z domieszką islandzkiego - no i co to szkodzi. Liczy się efekt skali, a poza tym jest niemal pewne, że widz, potrafiący to dostrzec, nie jest dobrym materiałem na wyznawcę w sekcje wścieklej prawicy. A że Tusk ukradł łańcuch na koła za 5 tys., jak był na feriiach we Włoszech. Rzeczniczka MSWiA wyjaśnia: łańcuchy kupił SOP do swoich aut, nie były jeszcze używane i leżą w magazynie. Ale jest przecież faktura na ten zakup. Że napisana po czesko-islandzku? - no przecież widz TV Republika nie dostrzeże takiego drobiazgu...

- A że 180 mld zł na polskie zbrojenia zadłuży nas na pokolenia.

- Przecież za PiS pożyczycieście 400 mld, na 2x większy procent, kupując sprzęt w USA i Korei.

- Ale tu cała kasa z SAFE pójdzie do Niemców, którym Tusk służy, a listę zakupów uzbrojenia dyktuje nam Bruksela.

- Listę zakupów zrobił Sztab Generalny WP, a u Niemców kupimy nic albo niewiele, bo niewiele ich sprzętu nas w tym programie interesuje.

Ale że lista jest tajna!!! - Jest jawna dla Was, posłów i prezydenta od dawna. Gdyby tam były zakupy „u Niemca” wyciągnęlibyście je już dawno, tak jak ujawniliście, że 10 mld zł ma iść do spółki, gdzie jest były poseł PO. Tylko tyle tam znaleźliście? Narazie tyle, ale jutro sztab tworzący spuszczoną z łańcucha propagandę wymyśli coś nowego. Bo to jest metoda: absurdalnie kłamać na jak największym zasięgu i młócić te kłamstwa od rana do zmierzchu. Jak jedno nie chwyci, natychmiast wymyślać nowe. Tak dziś prawica wygrywa wybory - tu MAGA Trumpa jest dla PiS rzeczywiście dobrym wzorem.

Czy ten schemat powtórzy się u nas? Tak, właśnie jest odpalany na sterydach. Czy da ten sam efekt? A to już zależy trochę od nas samych...

Zablokowanie programu SAFE będzie oznaczało uderzenie w samo serce naszych programów polskiego bezpieczeństwa; tu nie ma miejsca na politykę czy konflikty. (...) Tu chodzi naprawdę o polskie bezpieczeństwo, o wielkie przyspieszenie polskiej produkcji zbrojeniowej, polskiej myśli technicznej

FOTOkomentarz tygodnia



FOT. PAP/MYKOŁA KALVENIAK

18 LUTEGO, UKRAINA

W Szwajcarii odbyły się dwudniowe negocjacje pokojowe między Ukrainą i Rosją (przy udziale USA), ale – jak zresztą przewidywali eksperci – nie przyniosły one efektu. Na froncie ciągle trwają walki. Armia ukraińska kontratakowała na granicy obwodów zaporoskiego i dnipropietrowskiego, odbijając cztery miejscowości. Rosjanie z kolei ostrzelali Kijów oraz ukraińską infrastrukturę energetyczną. W skrócie: nie widać końca obecnej wojny pozycyjnej. W takiej atmosferze przyjdzie nam obchodzić czwartą rocznicę wybuchu konfliktu, który się zaczął 24 lutego 2022 roku.



FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP

18 LUTEGO, WARSZAWA **Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz** (z lewej) pokonała **Paulinę Henning-Kłoskę** w walce o przywództwo w Polsce 2050. W tym tygodniu mieliśmy swoistą dogrywkę do tych wyborów. Przegrana wyprowadziła z partii kilkunastu posłów i założyła własny klub parlamentarny – Centrum



FOT. PAP/EPA/SEPAHNEWS HANDOUT

17 LUTEGO, IRAN W cieśninie Ormuz Iran – wspólnie z Rosją – przeprowadził serię ćwiczeń wojskowych. W regionie czuć coraz większe napięcie, USA niemal otwarcie mówią o możliwej interwencji



FOT. PAP/EPA/SARAH YENESIL

17 LUTEGO, ŚWIAT Tak początek nowego roku księżycowego świętowali Chińczycy w Nowym Jorku. Mieszkający na całym świecie Azjaci hucznie fetowali najważniejszy dla nich dzień w roku

GENEALOGIA. LEPIEJ ZROZUMIEĆ SIEBIE

Poszukujemy swoich korzeni z różnych powodów: z chęci potwierdzenia swojej szlacheckości, odpowiedzi na pytanie, kim jesteśmy. Poczucie przynależności do rodziny i jej historii daje poczucie tożsamości i wewnętrzną siłę. Dzisiaj badaniem naszej przeszłości zajmują się już wyspecjalizowane firmy, a rozwój genealogii dość niespodziewanie pomógł innej dziedzinie nauki – kryminalistyce

Dorota Kowalska

Paweł Świetlik – z wykształcenia archeolog, z zamiłowania genealog, funkcjonariusz Służby Więziennej, strażak ochotnik i społecznik. Od małego interesował się historią. Babcia Stasia miała w szafie pudła ze starymi zdjęciami – przeglądał je, dopytywał, kto jest na zdjęciach, co się z tym kimś stało.

– Ale genealogia, tak na poważnie, wzięła się trochę przez przypadek. Kiedyś mama wspominała dawne czasy i swojego dziadka Józefa Limańskiego. Mówiła, że całe życie pracował na kolei i nic z tego nie miał, ale dostał trzy krzyże i ona je doskonale pamięta. Ojciec się śmiał, że pewnie sobie kupił te krzyże na targowisku. Pomyślałem: „Chwila, przecież jeśli to były odznaczenia państwowe, to możemy sprawdzić, czy je dostał, czy nie”. Tak to się zaczęło – wspomina.

Mógł mieć wtedy niewiele ponad 20 lat, dzisiaj ma 44. Stwierdził, że jeżeli to był Krzyż Walecznych, to prawdopodobnie przyznała go pradziadkowi Kancelaria Prezydenta. Napisał jednak najpierw do Centralnego Archiwum Wojskowego w Rembertowie, poprosił, żeby sprawdzili teczkę Józefa Limańskiego. Okazało się, że rzeczywiście, był w niej wniosek o przyznanie Krzyża Walecznych. Wysłał więc pismo do Kancelarii Prezydenta, a ta za opłatą wydała mu duplikat odznaczenia.

– Dowiedziałem się też, że podczas I wojny światowej pradziadek walczył na froncie we Francji, obok niego wybuchła bomba i stracił słuch. Dostał za to od cesarza Wilhelma Krzyż Żelazny – tłumaczy Paweł Świetlik.

Rozwiązał zagadkę odznaczenia swojego pradziadka, a właściwie dwóch odznaczeń, i pomyślał, że sprawdzi innych członków rodziny, a może dowie się o nich czegoś ciekawego.

Wywodzi się z rodziny mundurowej. Dziadek – strażak, oj-

ciec – strażak, brat dziadka – strażak. Zaczął szperać. Jest gdzie. Dla niego pomocne było Centralne Archiwum Wojskowe, bardzo bogatym źródłem wiedzy są też koperty dowodów osobistych w urzędach gminy.

– W takich kopertach dowodów osobistych można znaleźć dokumenty z czasów okupacji hitlerowskiej. Niemcy wydawali swoje dowody, książeczki, inne dokumenty. Później, kiedy wojna się kończyła, każdy musiał udowodnić, że nazywa się tak a nie inaczej. Ludzie oddawali niemieckie dokumenty i w latach 50. zaczęto im wydawać dowody osobiste. Więc w kopertach dowodowych jest mnóstwo ciekawego dla genealogów materiału – tłumaczy.

I dodaje, że kolejne ważne źródło informacji, zwłaszcza jeśli ktoś ma w rodzinie mundurowych – kolejarzy, strażaków, pocztowców – to archiwa tych instytucji. Kolejna sprawa to ZUS – tam z kolei można przejrzeć akta emerytalne.

– Przecież jak ktoś przechodzi na emeryturę, musi złożyć w ZUS-ie podanie, opisać swoją historię, złożyć świadectwa pracy, dokumenty o wykształceniu. Wszystko w tych teczkach zusowskich jest. Także szkoły mają swoje archiwa. Można z nich wyciągnąć świadectwa, zdjęcia. Wydziały komunikacji mają te czki praw jazdy, kart woźniców – wylicza Paweł Świetlik.

W jego rodzinie, jak mówi ze śmiechem, jest wszystko od prawa do lewa, tak jeśli chodzi o poglądy polityczne, jak i o status społeczny, bo są i robotnicy, i kolejarze, i strażacy, i wła-

ściciele majątków ziemskich. Jego pradziadkowie od strony ojca mieli w Pigłowicach dworek i sporo ziemi, ale już żona Józefa Limańskiego była służącą u jakichś ziemian. Szczególnie bliski jest mu Józef Limański, bo od niego wszystko się zaczęło, a ze strony żony Marcin Banaszak, który walczył w powstaniu wielkopolskim, a potem w wojnie polsko-bolszewickiej.

– Genealog to jest taki trochę detektyw, prawda? – dopytuję.

– Detektyw i człowiek nieuleczalnie chory, bo jak ktoś chwyci bakcyli genealogii, to już się z tej pasji nie wyleczy, wszędzie będzie węszył – wybucha śmiechem Świetlik.

Dzisiaj możliwości są większe. Kiedy zaczynał, internet raczkował, teraz można w nim znaleźć masę informacji. Mają wyszukiwarki dla genealogów, w sieci są przeróżne dokumenty, chociażby księgi metrykalne, można wejść w archiwa wielu instytucji. Inna rzecz, że genealogi są dobrze zorganizowani: mają swoje stowarzyszenia, fora, jest coraz więcej publikacji naukowych na temat genealogii.

– I coraz więcej ludzi chce wiedzieć, kim byli ich przodkowie, czym się zajmowali. Nie wiem, czy to kwestia mody, czy po prostu szukamy swojej tożsamości – wzrusza ramionami.

On miał w Centrum Kształcenia Zawodowego i Ustawicznego Hipolit w Środzie Wielkopolskiej spotkanie z młodzieżą. Opowiadał właśnie o tym, jakie są źródła informacji, gdzie szukać dokumentów. Młodzi słuchali z zainteresowaniem.

Na tropie swoich przodków

Genealogia już od dawna uznawana jest za swoisty fenomen. W Stanach Zjednoczonych swoich korzeni poszukuje grubo ponad sto milionów ludzi, a genealogia to drugie – po amatorskim uprawianiu ogródka – ulubione hobby Amerykanów. Liczba tych, którzy tworzą drzewa genealogiczne, rośnie w Niemczech i we Francji. Wszyscy oni mają do dyspozycji internet, a w nim kilkanaście portali, na których mogą szukać swoich krewnych. Oprócz tego książki, poradniki, wreszcie największy na świecie zbiór rejestrów kościelnych i dokumentów emigracyjnych gromadzonych od 1894 roku w Bibliotece Historii Rodziny w Utah przez członków Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich, którzy utrwalają na kliszach dokumenty mogące pomóc w odszukaniu informacji o swoich przodkach.

„Popyt na korzenie” jest tak duży, że na świecie działają specjalistyczne firmy, które za odpowiednim wynagrodzeniem zajmują się tworzeniem drzew genealogicznych na zamówienie. A dla tych, którym spotkanie z historią własnej rodziny popsuło nastrój, rozczarowało albo przyprawiło o stres, powstał nowy dział psychologii – psycho-genealogia.

Co by nie pchało amatorów do ciągłych poszukiwań, oni sami powtarzają, że najważniejsza jest dla nich radość rozwiązywania zagadek, ta zabawa w detektywa, który, umówmy się, nie robi nic innego, jak „grzebie w trupach”.

„Poszukiwania genealogiczne stanowią swego rodzaju śledztwo polegające na zbieraniu dowodów, ich weryfikacji, ana-

lizie i wreszcie rekonstrukcji wydarzeń w oparciu o zebrany materiał i wysnute zeń wnioski” – pisze w „Poradniku Genealoga Amatora”, uważanym za genealogiczny elementarz, Rafał T. Prinke. I dalej: „Podobnie jak detektyw, genealog musi nie tylko umieć odróżnić informacje prawdziwe od fałszywych, ale także stawiać najbardziej prawdopodobne hipotezy robocze w przypadkach, kiedy brak jest bezpośrednich dowodów. Oczywiście proces poszlakowy nigdy nie daje stuprocentowej gwarancji, że ukarana będzie właściwa osoba – tak samo hipotetyczne odtworzenie powiązań genealogicznych nie daje pewności, że są one właściwe”.

Zabójstwo daje początek policyjnemu śledztwu, które musi odpowiedzieć na siedem podstawowych pytań: Co? Gdzie? Kiedy? Kto? Czym? W jaki sposób? Dlaczego? A proces dochodzenie prawdy jest niczym innym, jak prześledzeniem życia człowieka od jego narodzin po dzień zabójstwa. W genealogii impuls do podjęcia detektywistycznej pracy nie ma na szczęście tak drastycznego podłoża i jest różny – zależnie od kultury, religii i mentalności.

Dla mormonów poszukiwania swoich przodków to rodzaj posłannictwa czy może raczej przykazanie dane im od Boga. Mormoni wierzą, że każdego człowieka można ochrzcić nawet po jego śmierci, i choć to wprawdzie duch przodka, który zachowuje wolę i świadomość, decyduje, czy chce być ochrzczony, czy nie, oni muszą dać wszystkim jednakową szansę. Także każdy Hindus ze względów religijnych musi znać historię swoich przodków, co najmniej do czwartego pokolenia. Ten wywód jest wpisywany do horoskopu otrzymanego przy urodzeniu, a imiona przodków odczytywane podczas ceremonii ślubu czy innych obrzędów, z prośbą o wsparcie duchowe.

Z kolei w Japonii genealogia stanowiła integralny element tradycji samurajskiej, a poszczególne rody przechowywały informacje o swoich przodkach w specjalnie stworzonych do tego celu bibliotekach. W Chinach pierwotny kult przodków przetrwał jako ważny element konfucjonizmu. Ale i tak nie do pobicia wydają się Polinezyjczycy, bo każdy z nich historię swojej rodziny, obejmującą ostatnich pięćuset lat, wyrecytuje z pamięci wyrwany ze snu w środku nocy. Jak pisze Rafał T. Prinke, w społecznościach o strukturze plemiennnej znajomość więzów krwi miała zasadnicze znaczenie nie tylko dla klasy posiadającej, ale dla wszystkich jej członków.

Nasze poczucie przynależności

Kinga Urbańska ukończyła studia na kierunku historia (specjalność archiwistyka i edytorstwo źródeł), od lat pracuje jako genealog. Jest współzałożycielką firmy genealogicznej Your Roots in Poland, wiceprezeską Stowarzyszenia Twoje Korzenie w Polsce, współautorką kilku książek, w tym „Genealogia dla najmłodszych”, czyli wyjątkowa podróż w czasie”.

– W moim rodzinnym domu bardzo dużo mówiło się na temat pochodzenia szlacheckiego, herbów. Krążyła rodzinna legenda, że moi przodkowie mieli swoje włości gdzieś na wschodzie, skąd musieli uciekać. Ona została przekazywana także przez członków rodziny, którzy byli w zakonie, bo mój dziadek był zakonnikiem, a jego brat nawet prowincjałem karmelitów bosych w Krakowie. Więc skoro takie osoby przekazywały te informacje, uznaliśmy je za wiarygodne. Wciągnęły mnie ta historia – opowiada.

Zresztą, potem, kiedy genealogią zaczęła zajmować się zawodowo, sprawdziła swoje korzenie. Okazało się, że na pewno od 1750 roku Urbańscy nie byli

CORAZ WIĘCEJ LUDZI CHCE WIEDZIEĆ, KIM BYLI ICH PRZODKOWIE, CZYM SIĘ ZAJMOWALI. MOŻE PO PROSTU SZUKAMY SWOJEJ TOŻSAMOŚCI?



FOT. 123RF

„Popyt na korzenie” jest tak duży, że w Polsce i na świecie działają specjalistyczne firmy, które za odpowiednim wynagrodzeniem zajmują się tworzeniem drzew genealogicznych na zamówienie

szlachcicami - byli zamożnymi chłopami, tyle.

- Z czym mój tata się nie pogodził. On wciąż twierdzi, że skoro jego stryj powiedział, że nasi przodkowie byli szlachciami, to byli i koniec, kropka - wybucha śmiechem.

Więc zdecydowanie zainteresowanie rodzinnymi historiami, herbami, przeszłością zaszczytowało jej w rodzinnym domu. Wybór studiów wydawał się oczywisty. Pod ich koniec razem z grupą przyjaciół doszła do wniosku, że jest nisza, którą można biznesowo zagospodarować. Mieszka w Krakowie - od dawna przyjeżdżała tu wiele osób, także obcokrajowców, żeby szukać swoich korzeni. Tyle że nie wiedzieli, jak się za to zabrać. Poza tym, często nie znali języka.

- A my jesteśmy archiwistami, historykami i mówimy po angielsku, także w innych językach, więc stwierdziliśmy, że dla czego na tym nie zarabiać, skoro jest popyt na tego typu usługi - tłumaczy Urbańska.

I dodaje, że próba odtworzenia swojego drzewa genealogicznego to jedno, ale coraz częściej zwracają się do nich ludzie, którzy chcą udowodnić, czy też potwierdzić swoje polskie pochodzenie i starać się o polskie obywatelstwo.

- Tylko w Stanach Zjednoczonych żyje ponad dwadzieścia milionów osób, które wiedzą, że mają polskie korzenie, nie mówiąc już o tych, które tego nie wiedzą. Niektórzy chcą mieć pol-

ski paszport, bo to tak naprawdę paszport europejski, a sytuację geopolityczną mamy, jaką mamy - opowiada. W każdym razie na brak klientów nie mogą narzekać.

Firma to jedno; w 2016 roku okazało się, że dla wielu ludzi genealogia to pasja, stąd pomysł Stowarzyszenia Twoje Korzenie w Polsce. W jego ramach organizują warsztaty, wykłady, popularyzując wiedzę na temat genealogii. Napisali dwie instruktażowe książki o tym, jak szukać swoich przodków.

- Skąd takie zainteresowanie swoimi korzeniami, jak pani myśli? - dopytuję.

- Kiedyś było bardzo mocno związane z chęcią potwierdzenia swojej szlachectwa, tej warstwy nobilitującej naszą rodzinę. Z drugiej strony, wiek XX wiąże się z rozwojem nauk psychologicznych, także naszej samoświadomości. Jestem przekonana, że badania genealogiczne służą przede wszystkim dowiedzenia się, kim jesteśmy, zrozumieniem naszej tożsamości, naszego pochodzenia. Wiemy już, bo potwierdziły to badania, że dziedziczymy pewne traumy, że nasza konstrukcja psychologiczna, emocjonalna jest związana także z doświadczeniami naszych przodków - mówi Kinga Urbańska. - Więc poszukujemy dzisiaj swoich korzeni, żeby lepiej zrozumieć siebie i nasze miejsce w życiu, odpowiedzieć sobie na pytanie, dla czego jesteśmy, kim jesteśmy - dodaje.

Jak podkreślają socjologowie, ludzie potrzebują być kimś więcej niż tylko samotnym, anonimowym trybikiem w wielkiej maszynie społeczeństwa. Poczucie przynależności do rodziny i jej historii daje poczucie tożsamości i wewnętrzną siłę. Każdy człowiek powinien wiedzieć, skąd pochodzi i dokąd zmierza.

Ale czasami, o czym wspomniała Kinga Urbańska, przesłanki są bardziej przyziemne: chcemy się dowartościować, udowodnić szlachectwo. Tymczasem, jak możemy przeczytać w „Poradniku Genealoga Amatora”: „Przekazy rodzinne mają to do siebie, że starają się gloryfikować przeszłość rodziny, wyolbrzymiając zasługi i bogactwa przodków, a pomniejszając ich ułomności”.

Jeden z genealogów opowiadał mi kiedyś, jak to przyszedł do niego mężczyzna noszący to samo nazwisko co narodowy wieszcz, Adam, z prośbą o odtworzenie swego drzewa genealogicznego. Miał zapewne nadzieję, że jest spokrewniony z poetą, ale rzeczywistość okazała się prozaiczna. Genealog dotarł do ksiąg kościelnych, w których tak opisano narodził się pradziada jego klienta: „Przyszedł na świat z dziewczki kościelnej i przyniósł go dziad kościelny”.

No i klops! Francuska psycholog Anne Ancelin Schutzenberger w swojej będącej bestsellerem książce „Ach ci moi przodkowie” pisze, że o ile łatwo jest

utożsamiać się z przodkami, którzy byli ludźmi sławnymi, a przynajmniej dobrymi i utalentowanymi, to odkrycie wśród nich „czarnych owiec” powoduje czasem przerażenie i depresję, a wtedy niezbędna jest pomoc specjalisty. Tak, czasami genealogia bywa niebezpieczna, bo odkrywamy wiadomości, których nie chcielibyśmy znać. Może stąd ta psychogenealogia?

Z pomocą kryminalistycy

Ta chęć poznania swoich korzeni, przodków, pomogła też innej dziedzinie nauki, czego nikt, przynajmniej na początku, nie brał po uwagę. A może i brał, bo przecież genealogdy to domorośli detektywi.

W każdym razie miliony Amerykanów, którzy wysyłali do prywatnych firm swoje DNA, żeby dowiedzieć się czegoś o swojej przeszłości, nieświadomie doprowadzili do przełomu w kryminalistyce i tak dzisiaj anonimowemu śladowi na miejscu przestępstwa można przypisać imię i nazwisko.

Śledczym, dzięki publicznym bazom danych DNA, udało się już zidentyfikować wielu morderców, gwałcicieli, przestępców. Jedną z najsłynniejszych spraw, w której kluczową rolę odegrały komercyjne bazy danych DNA, jest ta seryjnego mordercy znanego jako Golden State Killer.

Golden State Killer terroryzował Kalifornię na przełomie lat 70. i 80., miał dokonać 100 włą-

mań, 50 gwałtów i przynajmniej 13 morderstw. Całe dekady pozostawał nieuchwytny. Po latach, a dokładnie w 2016 roku, agenci FBI wznowili poszukiwania przestępcy i wyznaczyli nagrodę w wysokości 50 tysięcy dolarów za informację, które mogłyby przyczynić się do jego złapania.

Dwa lata później ogłosili, że wiedzą, kto jest mordercą i gwałcicielem z Kalifornii, a rozwiązali tę zagadkę, korzystając z darmowej bazy danych GED-metch. Gdy policja umieściła w niej próbki DNA Golden State Killera, znalazła 10 do 20 jego dalekich krewnych. Na tej podstawie stworzono drzewo genealogiczne i wytypowano dwóch podejrzanych. Jeden z nich został wyeliminowany w toku śledztwa - został tylko Joseph James DeAngelo. Pobrano próbki DNA z klamki jego samochodu i chusteczki do nosa znalezionej w koszu na śmieci. Pasowały. 72-letni DeAngelo usiadł na ławie oskarżonych, oskarżono go o osiem morderstw pierwszego stopnia i trzynaście prób uprowadzenia.

Inne śledztwo, które pewnie przejdzie do historii kryminalistyki, to historia sprzed ponad 50 lat. 15 lutego 1974 roku 25-letnia studentka Mary K. Schlais została znaleziona przy drodze w niewielkim miasteczku Spring Brook w stanie Wisconsin. Została kilkakrotnie dźgnięta nożem. Ostatni raz widziano kobietę, kiedy jechała autostopem do Chicago. Jedynym tropem

dla śledczych była czapka znaleziona na miejscu zbrodni, a na niej włosy. Detektywi sprawdzali różne hipotezy, przesłuchiwali świadków - i nic.

Wiele lat później biuro szeryfa hrabstwa Dunn nawiązało współpracę z genealogami genetycznymi z Uniwersytetu Ramapo w New Jersey. Śledczy wystali im włosy znalezione na czapce. Naukowcy wygenerowali z nich DNA, potem przeanalizowali drzewo genealogiczne na popularnych witrynach genealogicznych i przekazali śledczym nazwiska krewnych podejrzanego.

Było to o tyle trudne, że sprawca był adoptowanym dzieckiem, co komplikowało sprawę, ale udało się. Nauka, a konkretnie genealogia, doprowadziła śledczych do 84-letniego Jona Millera w Minnesocie. Miller przyznał, że 50 lat wcześniej zabrał Mary, która łapała autostop, do samochodu, chciał uprawiać z nią seks, a kiedy odmówiła, zabił ją nożem.

Szuflady pełne papierów

Paweł Świetlik dzisiaj nie ma już tyle czasu, co kiedyś. Wiadomo: żona, dzieci, a do tego praca zawodowa, ale cały czas szuka. Ma w domu trzy szuflady dokumentów, które ściągnął z internetu, z archiwów, z różnych instytucji - wszystko musi przejrzeć.

- Najbliższy plan to jest opracowanie historii mojej babci Stasi, z którą mieszkaliśmy w domu rodzinnym mojej mamy. Babcia nie żyje od 2007 roku, była kucharką w Zespole Szkół Rolniczych w Środzie, ale miała bardzo ciekawą historię wojenną - opowiada.

Trafiła na roboty do Niemiec i była na tych robotach cztery dni. - Była dwunastolatką. Trafiła do Bawarii, miała pomagać w gospodarstwie rolnym przy bykach, krowach. Niemiec ją zobaczył i oniemiał. „Co oni mi tu dziecko przysłali?” - otworzył ze zdumienia oczy. Babcia знаła niemiecki, bo w domu rodzice sprzeczali się w tym języku, nie chcieli, żeby dzieci rozumiały. Miała też ze sobą zdjęcie swojego ojca, Józefa Limańskiego, w pruskim mundurze, odznaczonego Krzyżem Żelaznym. Ten człowiek je zobaczył, pojrzał na nią i wsadził w spójnik. „Wróć do domu, bo pewnie mama się o ciebie martwi” - powiedział na odchodne - opowiada rodzinną historię.

Więc teraz przyszedł czas na babcię. Najpierw zbiera dokumenty, potem dojrzewa, jak to mówi, żeby je opisać. Siada do komputera i stuka w klawisze, do każdej historii dołączając zdjęcia. Jego teksty wydrukował już „Średzki Kwartalnik Kulturowy”, „Gazeta Średzka”, „Kronika Wielkopolski”. Myślał o napisaniu książki, takiej historii rodziny, ale to duże przedsięwzięcie. Zobaczymy.

PIEROGUSZKA Z HONOLULU PODBIŁA WŁOSKIE IGRZYSKA

Kiedy w poniedziałek, 9 lutego, świętowaliśmy pierwszy medal na tegorocznych zimowych igrzyskach olimpijskich zdobyty przez pochodzącego z Bielska-Białej 19-letniego Kacpra Tomasiaka, towarzyszyła polskiej ekipie Pieroguszka – maskotka polskiej reprezentacji. Nastroje w polskiej ekipie są bardzo dobre nie tylko ze względu na formę sportową i osiągnięte wyniki. Dobra atmosfera to również zasługa Pieroguszki. A ta robi międzynarodową karierę!

„Polska reprezentacja zabiera ze sobą na IO 2026 pluszowe pierogi. Maskotka staje się hitem. Maskotkę zrobił Luft Katowice i nazywa się Pieroguszka. Luft Katowice to spółdzielnia. Daje pracę i prowadzi warsztaty rękodzielnicze dla osób z niepełnosprawnościami” – przekazuje Tomasz Golonko, reporter Radio Kolor oraz Natemat.pl w serwisie X.

Pieroguszka wywołała prawdziwe poruszenie w wiosce olimpijskiej i zainteresowały się nią nie tylko gwiazdy sportu.

Popularność polskiej maskotki na IO 2026 nabiera rozpędu. Po informacji o tym, że w pluszowym pierogu zakochała się niemal cała wioska olimpijska, swojego pieroguszka chce... sławny raper Snoop Dogg – donosi Tomasz Golonko w mediach społecznościowych.

Pieroguszka powstała w Katowicach

Na terenie Katowic działa lokal o nazwie LUFT. Jest to prospołeczny sklep tworzony przez spółdzielnię socjalną Honolulu, prowadzącą zajęcia rękodzielnicze dla osób z niepełnosprawnościami, podczas których tworzone są Pieroguszki. Pieroguszki to poduszki w kształcie pierogów, wykonane z przyjemnego w dotyku polaru. Mają różne kolory i „twarze”.

– Spółdzielnia socjalna to organizacja, która zajmuje się integracją osób z niepełnosprawnością. W naszym przypadku to głównie osoby z niepełnosprawnością intelektualną. Zatrudniamy 10 takich osób. Razem ze sobą współpracujemy. Nasze działania mają pokazywać, że są to najwykolejsi w świecie współpracownicy i razem potrafimy tworzyć coś, co ma sens, również ten ekonomiczny – tłumaczy Prze-

Wioska olimpijska zakochała się w Pieroguszcze. Swoją chce mieć też raper Snoop Dog. Pluszaki tworzą osoby z niepełnosprawnościami z katowickiej spółdzielni Honolulu

Marcin Śliwa



Pieroguszki tworzone są przez pięcioosobowy zespół spółdzielni Honolulu, a następnie trafiają na sprzedaż

mysław Sołtysik, prezes zarządu spółdzielni socjalnej Honolulu.

Pieroguszki można kupić w sklepie internetowym LUFT oraz stacjonarnie w kilku punktach na terenie Katowic. W asortymencie można znaleźć m.in. Amoruszki, Ufo-luszki czy dwustronne Pieroguszki. O kulisach jej wielkiej popularności, a także o tym, jak powstają Pieroguszki, rozmawiamy z Przemysławem Sołtysikiem.

Jak doszło do tego, że Pieroguszka stała się hitem zimowej olimpiady?

Przemysław Sołtysik: Prowadzimy sklep internetowy. Bez konsultacji z nami któraś z zawodniczek po prostu kupiła sobie Pieroguszkę i wystąpiła z nią na olimpiadzie. To było totalnie spontanicz-

ne. Dowiedzieliśmy się o tym z mediów społecznościowych. Później, kiedy już Pieroguszka zaczęła rzeczywiście robić furorę, skontaktowałem się z nami Polski Związek Łyżwiarstwa i posłaliśmy do Mediolanu, do wioski olimpijskiej, kilka dodatkowych sztuk.

Co Pan poczuł, kiedy wasza maskotka zaczęła zdobywać taką popularność?

Poczułem dużą radość i ekscytację – zarówno u mnie, jak i u całego zespołu spółdzielni, osób z niepełnosprawnością, które robią Pieroguszki. Dzięki temu widzą, że to ma sens.

Rosnąca popularność Pieroguszki wpływa na sprzedaż maskotek?

Jesteśmy już w stu procentach wyprzedani w tym momencie.

Osoby zainteresowane maskotką muszą zatem poczekać?

Na pewno wszyscy muszą się uzbroić w cierpliwość. Będziemy się starali w miarę na bieżąco wrzucać dodatkowe sztuki, ale potrzebujemy czasu. Jesteśmy małą spółdzielnią i potrzebujemy się odrobić.

Skąd wziął się pomysł na Pieroguszkę?

Jako spółdzielnia prowadzimy w Katowicach lokal „Drzwi zwane koniem” i w momencie, w którym w pandemii musieliśmy się zamknąć, poszukiwaliśmy jakiejś dodatkowej możliwości zarobku. Postawiliśmy na sklep internetowy. Podobne wzory poduszek w kształcie pierogów widzieliśmy już wcześniej, więc sam wzór nie jest w stu procentach oryginalny, natomiast my dodaliśmy warianty i nazwę Pieroguszka, którą później zastrzeżliśmy. W ten sposób już od pięciu lat szyjemy Pieroguszki.

Ile trwa przygotowanie jednej maskotki?

Kilkadziesiąt minut. To jest wszystko ręczna robota, ręczne szycie i ekipa osób z niepełnosprawnością wypycha każdą jedną Pieroguszkę.

Ile osób liczy wasza ekipa?

Pięć osób – pracownicy i pracowniczki spółdzielni.



Reprezentacja Polski podczas jednego z pierwszych dni igrzysk. Na pierwszym planie Pieroguszka

Rekord LPP: 91 nowych sklepów w tydzień. Tak rośnie Sinsay

LPP, gdańska spółka odzieżowa i właściciel marki Sinsay, nie zwalnia tempa ekspansji. Po historycznym roku 2025 – w którym firma weszła na sześć nowych rynków i zadebiutowała m.in. w Gruzji, swoim 46. rynku – początek 2026 roku przyniósł kolejny rekord. W ostatnim tygodniu stycznia LPP otworzyło aż 91 nowych sklepów Sinsay na terenie 19 państw. Tak imponujące tempo potwierdza dynamiczny rozwój polskiej firmy zarówno w kraju, jak i za granicą.

Jeszcze w połowie 2025 r. LPP świętowało rekord jednoczesnego otwarcia 25 salonów Sinsay w jednym dniu (na ośmiu rynkach jednocześnie). Wydawało się wówczas, że trudno będzie przebić taki wynik. Tymczasem ostatni tydzień stycznia 2026 przyniósł rezultat kilkukrotnie okazalszy. W ciągu zaledwie siedmiu dni LPP uruchomiło 91 nowych



sklepów Sinsay, obejmujących 87 miast na terenie 19 państw Europy i Azji. Na mapie nowych lokalizacji znalazły się m.in. Albania, Czechy, Uzbekistan, Ukraina, Gruzja, Polska, Kazachstan, Kosowo, Włochy czy Rumunia – pokazując,

że skala tego przedsięwzięcia objęła niemal cały kontynent. W ten sposób powierzchnia handlowa sieci Sinsay powiększyła się o ponad 59 tys. m².

Tak imponujący tydzień sprawił, że tylko w styczniu 2026 r. sieć najmłodszej mar-

ki LPP urosła łącznie o ponad 130 sklepów. Przedstawiciele spółki podkreślają, że to ogromny sukces setek osób – zespołów LPP, partnerów i kontrahentów – którzy pracowali na czas, by każda nowa placówka była gotowa

na przyjęcie klientów. Popularność Sinsay w wielu krajach jest już tak duża, że coraz częściej sami klienci proponują firmie kolejne lokalizacje sklepów w swoich miejscowościach, nieraz przedstawiając imponującą listę argumentów „dlaczego właśnie u nas”. Takie sygnały z rynku stanowią dla LPP dodatkową motywację do dalszego rozwoju sieci.

Przedstawiciele spółki podkreślają, że skala oraz konsekwencja realizowanej ekspansji przekładają się na systematyczne wzmacnianie pozycji i rozpoznawalności marek Grupy na rynkach o rosnącym znaczeniu dla branży fashion. Kluczowym filarem tych działań pozostaje ponad 30-letnie doświadczenie LPP w rozwoju nowoczesnego handlu odzieżowego oraz umiejętność dostosowywania formatów sklepów i oferty produktowej do lokalnych uwarunkowań.

Dynamiczny rozwój sieci sprzedaży idzie w parze z po-

prawą wyników finansowych Grupy. Zgodnie z zapowiedziami spółki przedstawionymi w strategii rozwoju na najbliższe trzy lata LPP planuje podwojeniu skali swojego biznesu w tym okresie. Wygląda na to, że spółka jest na dobrej drodze do spełnienia tych zobowiązań, biorąc pod uwagę tempo wzrostu marki Sinsay, która w ciągu 20 miesięcy podwoiła liczbę swoich salonów, do dwóch tysięcy.

– Kierunek strategiczny naszych planów rozwojowych pozostaje niezmienny, a marka Sinsay wciąż jest głównym motorem wzrostu Grupy – podkreśla Marcin Bójko, wiceprezes zarządu LPP. – Jednocześnie dostosowujemy tempo ekspansji do warunków rynkowych, analizując różne scenariusze i wybierając najlepszą taktykę na wykorzystanie potencjału Sinsaya. Zachowujemy elastyczność i gotowość do przyspieszenia, gdy tylko otoczenie będzie temu sprzyjać – dodaje.

REKLAMA

0011479540

Polska firma, międzynarodowy sukces!

**5 MAREK
46 KRAJÓW
3400 SKLEPÓW**

LPP | RESERVED CROPP HOUSE MOHITO **sinsay**

MISTRZOWSKIE POWITANIE

Dawno, dawno temu, nie za siedmioma górami i nie za siedmioma rzekami, ale nad wartką Wisłą i w naszych pięknych Beskidach właśnie w taki sposób podejmowano Adama Małysza, kiedy wracał w glorii i chwale z Val di Fiemme, Vancouver czy Salt Lake City, a później także, choć trochę z mniejszą pompą, Piotra Żyłę.

Od tamtych pięknych chwil upłynęło już trochę wody w Wiśle i powoli nawet najstarsi górale zaczynali zapominać, że można jechać na poważne zawody międzynarodowe, walczyć z najlepszymi jak równy z równym, przywieźć z nich medal, a nawet komplet krążków. W ostatnich latach, miesiącach, a nawet i tygodniach nic nie wskazywało, że jeden czy drugi beskidzki baca będzie przecierał oczy ze zdumienia, śledząc w telewizji to, co też te nasze chłopaki wyprawiają na olimpiadzie we Włoszech. A „narozrabiali”, że aż miło – przywieźli ze śnieżnej Italii cztery medale, z czego aż trzy – co w polskim sporcie zdarza się wyjątkowo rzadko – wywalczyli jeszcze do niedawna mało znany, a obecnie będący na ustach całej Polski urodzony w Bielsku-Białej, 19-letni Kacper Tomasiak, zawodnik Ludowego Klubu Sportowego Klimczok Bystra.

– To, co zrobił Kacper, zapiera dech w piersiach. Zostać multimetalistą na jednych igrzyskach olimpijskich to coś niesamowitego – cieszył się w rozmowie z „DZ” Paweł Niemczyk, prezes LKS Klimczok Bystra.

Mimo że działacze klubu nie mieli wiele czasu na przygotowanie powitania swojego najsłynniejszego wychowanka, to zrobili wszystko, żeby było ono wyjątkowe. Prezes Niemczyk nie zdradzał, co zamierzają przygotować. Podkreślał jedynie, że planują jakąś niespodziankę, więc powitanie do końca było owiane mgiełką tajemnicy.

Wszystko stało się jasne w środę kilka minut po godz. 17.00, kiedy to przed siedzibą bystrzańskiego klubu (na tej samej ulicy znajduje się słynna Fałatówka, czyli willa, w której mieszkał i pracował jeden z najsłynniejszych polskich akwarelistów Julian Fałat) pojawił się Kacper Tomasiak, a zgromadzony tłum zgotował mu gorące – na przekór zimie – powitanie. Grała orkiestra dęta, były okrzyki „Kacper, Kacper!”, zagrano „Mazurka Dąbrowskiego”, odśpiewano gromkie „Sto lat!”, pojawił się słodki tort, ktoś także napisał okolicznościowy wierszyk, ale przede wszystkim sporo było łez, wzruszających momentów, podziękowań, gratulacji. A jest czego gratulować!

W Beskidach dawno już nie było takiej sportowej fety, jaką w środę zgotowano Kacprowi Tomasiakowi i Pawłowi Wąskowi. Po powrocie z igrzysk zostali przywitani – na przekór zimie – bardzo gorąco i z należnymi honorami. Były łzy wzruszenia, podziękowania, gratulacje i nadzieja na kolejne medale

Jacek Drost



W śróde mieszkańcy regionu i kibice skoków zgotowali Kacprowi Tomasiakowi gorące przyjęcie



Skoczek, znany ze swej religijności, otrzymał wiele podarunków, w tym obraz Świętej Rodziny



Paweł Wąsek został powitany przez fanów skoków na ustróńskim Rynku

– Kacper jesteś wielki – mówił Paweł Niemczyk. Przypomniawszy, że klub ma 104 lata. – Ty, jako pierwszy w historii tego klubu, zdobyłeś medale igrzysk olimpijskich. Gratuluję ci z całego serca. To dla nas wielka duma. Po prostu brakuje słów... – mówił ze łzami w oczach prezes.

Dziękował nie tylko skoczkowi i jego rodzicom obecnym na powitaniu, ale także Pawłowi Wąskowi oraz pierwszemu trenerowi Kacpra – Jarosławowi Koniorowi, który symbolicznie założył na szyję olimpijczyka wywalczone przez niego we Włoszech medale.

Poseł Przemysław Drabek przekazał skoczkowi różaniec zrobiony przez innego wybitnego beskidzkiego sportowca, zmarłego niedawno boksera, mistrza olimpijskiego z Tokio śp. Mariana Kasprzyka. Poseł Drabek przypomniał, że w poniedziałek, 9 lutego, odbył się pogrzeb śp. Mariana Kasprzyka. A tego samego dnia wieczorem Kacper zdobył swój pierwszy srebrny medal na olimpiadzie.

– Nie chcę mówić z pozycji wiceministra, tylko Bystrzanina. Powiem ci Kacper – czekaliśmy na to: ja ponad 50 lat, a nasza miejscowość ponad 100 lat. To wielkie szczęście, wielka duma. Nie wyobrażasz sobie jak jesteśmy szczęśliwi. To się w kościach czuje, są ciary na skórze, jesteśmy cholernie z ciebie dumni – mówił z kolei mieszkający w Bystrzy Przemysław Koperski, wiceminister infrastruktury.

Adam Małysz, obecnie prezes Polskiego Związku Narciarskiego, zwierzał się.

– Powiem szczerze, że miałem łzy w oczach jak oglądałem Kacpra czy na średniej czy na dużej skoczni, ale najbardziej popłakałem się w mikstach. To było coś niesamowitego, taka dramaturgia – mówił wybitny skoczek, który podarował Kacprowi na szczęście miniaturową złotą figurkę skoczka, którą otrzymał w Salt Lake City.

Znany ze swojej skromności Kacper Tomasiak podziękował wszystkim, że przyszli go przywitać. – Bardzo dużo to dla mnie znaczy – powiedział.

W tym samym czasie na Rynku w Ustroniu uroczyste powitano Pawła Wąska. Skoczek mieszka w Ustroniu, ale jest zawodnikiem Wiślańskiego Stowarzyszenia Sportowego. Na wice-mistrza olimpijskiego czekali władze Wisły i Ustronia oraz tłum kibiców. Fani cieszyli się, że mogli sobie zrobić pamiątkowe fotografie ze srebrnym medalistą. Sam Wąsek, który na skoczni w Predazzo odniósł największy sukces w karierze, nie ukrywał wzruszenia tak hucznym powitaniem.

Współpraca: Jacek Sroka

BYŁY KSIĄŻĘ ANDRZEJ W ARESZCIE

Policja aresztowała byłego brytyjskiego księcia Andrzeja, młodszego brata króla Karola III – informowały brytyjskie media. W tle skandal seksualny i akta Epsteina

Adam Kiełar, Kazimierz Sikorski

W ramach śledztwa zatrzymaliśmy dzisiaj (19 lutego) mężczyznę z Norfolk w wieku sześćdziesięciu kilku lat pod zarzutem nadużycia stanowiska publicznego i przeprowadzamy przeszukiwania pod adresami w Berkshire i Norfolk. Mężczyzna pozostaje obecnie w areszcie policyjnym” – napisała w wydanym oświadczeniu policja regionu Doliny Tamizy.

Wielokrotnie w aktach Epsteina

Na razie, nie wiadomo, czy aresztowanie ma związek z niedawno upublicznionymi aktami Epsteina, w których nazwisko byłego księcia pojawia się wielokrotnie.

Na początku lutego premier Wielkiej Brytanii Keir Starmer zasugerował, że były książę Andrzej powinien zeznawać przed Kongresem USA w sprawie swoich kontaktów ze skazanym przestępcą seksualnym Jeffreyem Epsteinem.

Komentarze premiera pojawiły się po opublikowaniu najnowszych dokumentów związanych z Epsteinem, wśród których znajdują się zdjęcia przedstawiające Andrzeja kłęczącej nad kobietą leżącą na ziemi.

W piątek Departament Sprawiedliwości USA udostępnił ponad trzy miliony stron dokumentów związanych z Epsteinem. Nie podano kontekstu dla zdjęć przedstawiających Andrzeja kłęczącego nad niezidentyfikowaną kobietą.

Na dwóch zdjęciach widać, jak dotyka całkowicie ubranej osoby po brzuchu. Na innym zdjęciu patrzy prosto w obiektyw aparatu.

Mountbatten-Windsor, dawniej znany jako książę Andrzej i książę Yorku, został pozbawiony tytułów królewskich

w październiku po tym, jak zastrzyła się kontrola jego powiązań z Epsteinem.

Jest druga ofiara Andrzeja. Druga kobieta twierdzi, że Jeffrey Epstein wysłał ją do Wielkiej Brytanii w celu odbycia stosunku seksualnego z Andrzejem – powiedział jej prawnik w wywiadzie dla BBC.

Do spotkania rzekomo doszło w 2010 roku w rezydencji byłego księcia, Royal Lodge. Kobieta, która nie była Brytyjką, miała wówczas około 20 lat.

„Mówimy o co najmniej jednej kobiecie, którą Jeffrey Epstein wysłał do księcia Andrzeja. Po spędzeniu nocy z księciem Andrzejem, odbyła nawet wycieczkę po Pałacu Buckingham” – powiedział prawnik Brad Edwards.

Edwards reprezentuje ponad 200 ofiar Epsteina na całym świecie, w tym Virginie Giuffre, która twierdziła, że w 2001 r., gdy miała 17 lat, sprowadzono ją do Londynu, aby uprawiać seks z byłym księciem.

Giuffre powiedziała, że była zmuszana do seksu z Andrzejem jeszcze dwukrotnie w latach 2001-2002 – raz w Nowym Jorku i raz na prywatnej karaibskiej wyspie Epsteina.

Książę bez tytułów

W ubiegłym roku książę Andrzej został odsunięty od władzy. Pozbawiono go tytułu księcia, tytułu Jego Królewskiej Wysokości i królewskich honorów. Decyzję o pozbawieniu wszystkich arystokratycznych tytułów podjął rodzony brat Andrzeja – król Karol.

Przesłanie od króla było jasne: nie jesteś już mile widziany nawet w pobliżu dworu królewskiego. To kulminacja lat skandali, w które zamieszany był książę.

Choć Andrzej zaprzeczał nadużyciom seksualnym, monarchia musiała podjąć działa-

nia, zrzucić z siebie podejrzenie o chronienie członka rodziny. Było jasne, że monarcha nie miał w tej sprawie wyboru.

Monarchią wstrząsnęła publikacja pośmiertnie wyda-

nych pamiętników Virginii Giuffre – która przez lata oskarżała amerykańskiego finansistę Jeffrey Epsteina i brytyjskiego księcia Andrzeja o wykorzystywanie seksualne.

Przez lata twierdziła ona, że była ofiarą handlu żywym towarem, prowadzonego przez nieżyjącego już Epsteina, skazanego za przestępstwa seksualne, i jego byłą partnerkę

Ghislaine Maxwell, która odsiaduje wyrok więzienia.

Twierdziła też, że była wykorzystywana seksualnie przez księcia Andrzeja, gdy miała mniej niż 18 lat. PAP

REKLAMA

0011480870

ALUPROF
LET'S BUILD A BETTER PLACE

OKNA I DRZWI I FASADY I OSŁONY PRZECIWSŁONECZNE I PERGOLE

AMBASADOR
Szymon Marciniak

Granice?

Tylko te, które sam wyznaczasz.
To Twój wybór.

Panoramyczne drzwi przesuwne MB-Skyline Type S



FOT. JON ELSWICK/ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

W lutym opinią publiczną na całym świecie wstrząsnęły zdjęcia byłego księcia z niewiadomą kobietą

Dlaczego dziś pościmy tylko dwa dni w roku? Czym post różni się od diety? I czy burczenie w brzuchu może zbliżyć do Boga? O tym, jak przeżyć Wielki Post, by był realną drogą przemiany, rozmawiamy z o. Łukaszem Miśko OP, dyrektorem Dominikańskiego Ośrodka Liturgicznego w Krakowie

Jolanta Tęcza-Ćwierz

POST, MODLITWA I JAŁMUŻNA - ZAPOMNIANA TRIADA, KTÓRA PORZĄDKUJE ŻYCIE W ŚWIECIE NADMIARU

Post jest praktyką starszą niż chrześcijaństwo. Jak kiedyś poszczono?

Chrześcijaństwo od początku wykorzystywało ten naturalny potencjał ludzkiej duchowości, zakorzenionej w pytaniach o sens, kierunek życia, dobro i zło, życie i śmierć. Wydobywało go i włączało w opowieść zbawczą o Chrystusie: o Jego narodzinach, życiu, śmierci i zmartwychwstaniu. Post stał się elementem odtwarzania w życiu chrześcijanina życia Pana Jezusa. Na początku dotyczyło to przede wszystkim tych, którzy przygotowywali się do chrztu jako dorośli, czyli katechumenów. To oni pościli przed sakramentami wtajemniczenia: chrztem, bierzmowaniem i Eucharystią. Post nie obejmował więc jeszcze wszystkich chrześcijan, ale tych, którzy wybrali bycie uczniami Jezusa i przygotowywali się do Paschy. Z czasem post stał się praktyką ogólnokościelną. Przełomowy był III wiek - nie było jeszcze określonej długości postu, ale odbywał się on przed Wielkanocą. Niekiedy trwał tyle co Wielki Tydzień, czyli kilka dni przed niedzielą zmartwychwstania. Stopniowo coraz wyraźniej wybrzmiewała biblijna symbolika czterdziestu dni na pamiątkę czterdziestoletniej wędrówki Izraelitów przez pustynię czy czterdziestu dni postu Jezusa. Ojcowie Kościoła dostrzegali w tym inspirację, by również w życiu wierzących odtwarzać te biblijne wydarzenia. Post jako fenomen antropologiczny, obecny w historii różnych religii, ma zupełnie naturalny wymiar. Może być praktyką, która



O. Łukasz Miśko OP: Przez modlitwę troszczymy się o więź z Bogiem, przez post uczymy się porządkować siebie, przez jałmużnę dbamy o relacje z innymi

poprzez fizyczny głód przypomina o duchowej potrzebie połączenia się z bóstwem, o poszukiwaniu więzi z tym, co transcendentne. W tym sensie bywa pewnym detoksem od sytego życia, pomaga przewartościować to, co na co dzień stawiamy na pierwszym czy drugim miejscu w naszej hierarchii wartości.

Zatem jaki jest najgłębszy sens Wielkiego Postu w XXI wieku, w świecie konsumpcji i nieustannego pośpiechu?

Pierwotny post chrześcijański zawsze wskazywał na wydarzenie, które zmieniło bieg historii - na Paschę Jezusa, Jego przejście przez ten świat. Bóg staje się człowiekiem i przechodzi przez całe ludzkie doświadczenie aż po śmierć, aby przeprowadzić nas na drugą stronę. To opowieść dobrze znana, wielokrotnie powtarzana, a przez to może nieco „wygladzona”, pozbawiona ostrości i osobistego odniesienia. Może więc Wielki Post powinien być czasem osobistego powrotu do historii Jezusa i pytania: co to dziś znaczy dla mnie, że Bóg wszedł w moją historię i nadal w nią wchodzi? Mówimy o wydarzeniach sprzed dwóch tysięcy lat, ale w wierze to nie jest tylko przeszłość. To teraźniejszość i przyszłość, bo z Jego Paschą łączymy naszą własną drogę. W rozpedzonym świecie konsumpcji, a jednocześnie w świecie pełnym lęku o przyszłość, który widzi kruchość globalnych konstrukcji i iluzję świata bez konfliktów, pytanie o przyszłość - osobistą i wspólną - staje się bardzo realne. I ono także wpisuje się

w to, co zrobił i co robi Jezus. Dlatego post cielesny, rezygnacja z konsumpcyjnych przyzwyczajęń, świadome ograniczenie mogą być pomocą w zadaniu tych poważniejszych pytań. Czterdzieści dni przed Wielkanocą to dobry czas nie tylko na zewnętrzne gesty, jak rezygnacja z czekolady, ale przede wszystkim na wewnętrzne pytania o moją teraźniejszość w świetle największej opowieści: o śmierci, zmartwychwstaniu i obietnicy życia wiecznego.

Współczesnych chrześcijan obowiązuje post ścisły tylko dwa dni w roku: w Popielec i Wielki Piątek. Dlaczego Kościół katolicki nie zachęca do poszczenia częściej?

Rzeczywiście, te dwa dni są dziś jakby ostatnim bastionem radykalnego postu. W historii bywało jednak różnie - były okresy bardziej i mniej intensywne. W średniowieczu podejście do czasu liturgicznego było bardzo rygorystyczne: poszczono w piątki i środy, w niektórych miejscach także w poniedziałki, więc nawet co drugi dzień miał charakter pokutny. Istniały też tzw. dni kwartalne. Poszczono również przed Eucharystią. Jeszcze do reform po Soborze Watykańskim II przed każdorazowym przyjęciem komunii na mszy św. obowiązywał post od północy, bez spożywania jakichkolwiek pokarmów. Można więc powiedzieć, że post był codziennością katolika. Dlaczego dziś podobnych praktyk jest mniej? Być może to reakcja na to, co jeszcze sześćdziesiąt lat temu uznano za nadmierne i niedostos-



FOT. 123RF

Dla większości z nas głód jest doświadczeniem chwilowym, dobrowolnym. Może więc być też formą solidarności z tymi, którzy postzczą nie z wyboru, lecz z konieczności

wane do życia współczesnego człowieka - bardziej miejskiego niż wiejskiego, pracującego nieregularnie, a nie według rytmu natury. A może trochę zapomnieliśmy, że post jest naturalnym sposobem wytworzenia w sobie braku, który można wypełnić duchowo. Same idee nie wystarczą, człowiek jest jednością psychofizyczną. Tak jak potrzebuje konkretnych momentów modlitwy, tak może potrzebuje także realnego doświadczenia głodu i ograniczenia. Może to dobry moment, by do tego wrócić.

Wielu ludzi na Wielki Post podejmuje konkretne postanowienia: rezygnują ze słodczy, alkoholu, seksu, mediów społecznościowych, próbują rzucić palenie. Po co? Żeby spełnić religijny obowiązek? A może udowodnić sobie, że stać ich na odrobinę heroizmu?

Oczywiście można wpaść w pułapkę udawania albo samozadowolenia, myśląc: „nie zmarnowałem postu, bo nie piłem przez czterdzieści dni”, albo „wytrzymałem bez Facebooka”. Ale chodzi o coś więcej, z tym że to „więcej” potrzebuje konkretności. Mówimy o przemianie serca, a ona nie dokonuje się bez małych kro-

ków i zewnętrznych znaków. To one pomagają nam pamiętać, że wewnętrzna droga prowadzi przez bardzo konkretne decyzje. Zresztą Wielki Post jest pełen znaków. Nie są one istotą, ale symbolicznymi drogowskazami: popiół w Środę Popielcową, krzyże zasłaniane pod koniec Wielkiego Postu, nabożeństwa Drogi Krzyżowej czy Gorzkich Żali, które prowadzą nas przez bardzo konkretną mękę Jezusa. Miłość Boga wyraziła się w przyjęciu na siebie wszystkiego, co w naszym świecie jest chore i domaga się uzdrowienia. Sensem nie jest cierpienie samo w sobie, sensem jest miłość. To miłość Jezusa zbawia, nie samo Jego cierpienie. Chrystus nie bał się konkretności i my również w konkretności się nawracamy. Nawrócenie bez widzialnych znaków, bez realnych decyzji byłoby czymś pustym i nieprzekonującym.

Czym zasadniczo różni się post podjęty z pobudek religijnych od diety czy postu zdrowotnego?

Z zewnątrz może nie różnić się niczym. Różnica tkwi przede wszystkim w motywacji, choć i ona nie jest całkowicie przeciwna. Jeśli ktoś troszczy się o zdrowie i wyraża to przez dietę, to jest to coś dobrego.

Post chrześcijański mówi natomiast: ograniczamy się, aby bardziej nastroić całego siebie na Chrystusa, by wewnętrzny człowiek stał się uważniejszy. Nie chodzi jednak o odrzucenie ciała czy zdrowia. Chrześcijaństwo nie jest duchowością przeciwko ciału. Przeciwnie - to duchowość ucieleśniona. Dualistyczne przeciwstawienie ciała i ducha jest obce religii chrześcijańskiej, choć w historii nieraz się pojawiało. Gdy mówimy o duchowości, musimy uważać, by nie rozumieć jej jako antycieleśności. Duchowość to raczej cieleśność odzyskana i zintegrowana z tym, co nazywamy duszą czy duchem. Człowiek jest jednością psychofizyczną, tak został stworzony i w tej jedności został także zraniony. Wewnętrzne konflikty, które w sobie nosimy, można widzieć jako skutek pierwotnego oderwania od Boga. Post duchowy, wyrażony w cieleśnych praktykach, może być drogą odzyskiwania tej jedności, aby cały człowiek na nowo stał się miejscem działania Bożej łaski.

Brzmi to pięknie. Jednak próbując kiedyś pościć o chlebie i wodzie, absolutnie nie czułam, że „mój duch bardziej się nastroił”, czułam tylko burczenie w brzuchu. Jak przeżywać post, żeby nie kończył się frustracją, ale prowadził do realnego zbliżenia do Boga?

Może zamiast rezygnować wyłącznie ze składników diety, warto czasem zostawić coś innego, na przykład media społecznościowe, i przeznaczyć ten czas na coś bardziej wartościowego? Post powi-

nien być w jakimś sensie twórczy. Oczywiście mamy dosłowny post, te dwa dni w roku, kiedy realnie ograniczamy jedzenie. Ale może to, że Kościół w ostatnich dekadach nie sprowadza idei postu do ilości czy jakości pożywienia, jest pewną odpowiedzią? Odmówienie sobie pokarmu to trudne doświadczenie. Być może kiedyś, gdy ludzie praktykowali to częściej, mieli już wyrobioną umiejętność przeżywania takiego dnia, wiedzieli, jak go ukierunkować. Dziś, gdy robimy to rzadko, dla wielu z nas - dla mnie także - jest to doświadczenie nieoczywiste. I nie spotkałem nikogo, kto powiedziałby, że głód sam z siebie jest duchowym uniesieniem. Może zresztą nie powinien być łatwy ani dawać natychmiastowej satysfakcji. Może właśnie chodzi o to, by coś w nas zostawić w niedosyć, w pytaniu: jak i czym zapelniam swoje braki? Jedzenia mamy dziś w nadmiarze, choć wiemy, że wielu ludzi na świecie głoduje. Dla większości z nas głód jest doświadczeniem chwilowym, dobrowolnym. Może więc jest też formą solidarności z tymi, którzy postzczą nie z wyboru, lecz z konieczności. Nie ma tu prostych recept. Być może kluczem jest postne nastawienie do rzeczywistości, czyli nie bycie niewolnikiem rzeczy i czynności. Kiedy bez przerwy konsumujemy, używamy, działamy, wszystko traci smak. Świadome, kontrolowane wycofanie się może pomóc ten smak odzyskać. Żeby po dniu czy czasie postu wrócić do jedzenia, mediów, przyjemności w sposób bardziej wolny i mądry.

Są rozmaite rodzaje diet: lekkostrawna, warzywna, białkowa... Czy są też różne rodzaje postu?

Bardzo bliska jest mi idea, której sam nigdy nie próbowałem - tradycyjny post niektórych rosyjskich mnichów, którzy w Wielkim Poście pili tylko piwo i nic nie jedli (śmiech). Mówię to z przymrużeniem oka i absolutnie nie polecam. Na szczęście są formy bardziej dostosowane do naszego miejskiego stylu życia i codziennych obowiązków. Myślę, że warto znaleźć taką praktykę, która będzie dla nas holistycznie dobra. Można połączyć troskę o organizm i oczyszczenie z niezdrowych nawyków z motywacją duchową. Skoro duchowość nie jest antycieleśna, dobra dieta może być elementem postu pod warunkiem, że nie chodzi tylko o lepszą sylwetkę i dobre samopoczucie, ale o większą otwartość na Boga. Chodzi o to, by stać się bardziej przestrzenią działania łaski. Jeśli dzięki postowi stanę się lepszym przyjacielem, bardziej uważnym współpracow-

W CHRZEŚCJAŃSKIM POŚCIE ŁĄCZY SIĘ TROSKA O SIEBIE Z GOTOWOŚCIĄ BYCIA DLA INNYCH I Z WIĘKSZĄ OTWARTOŚCIĄ NA BOGA

nikiem, bardziej życzliwym człowiekiem - to znaczy, że on działa. A jeśli przy okazji będę zdrowszy i bardziej zdolny do dawania siebie innym, to tym lepiej. W chrześcijańskim poście łączy się troska o siebie z gotowością bycia dla innych i z większą otwartością na Boga.

Podobno zwolennicy Pitagoras głośili, że jedząc mięso zabijemy jego demoniczną duszę. Dlatego zalecali wstrzemięźliwość od pokarmów mięsnych. Podstawą wielu przepisów postnych była ochrona przed wpływami demonów. Jaka powinna być nasza motywacja do postu?

Chrześcijaństwo ma wierzących, że zwierzęta mają demoniczną duszę, choć trzeba pamiętać, że dla starożytnych Greków słowo „demon” znaczyło coś innego niż dla nas. Chrześcijaństwo, idąc za Starym Testamentem, odwołuje się do nakazu z Księgi Rodzaju, by czynić sobie ziemię poddaną. Nie ma więc religijnego zakazu zabijania zwierząt czy spożywania mięsa. Dziś jednak rozmowa o zwierzętach i ich prawach toczy się w zupełnie innym kontekście niż w czasach biblijnych. Współczesny chrześcijanin może odkryć sens wegetarianizmu czy weganizmu i dobrze go uzasadnić, choć nie jest to konieczny element chrześcijańskiego postu. Najważniejszą motywacją wydaje się raczej uczenie się większej wolności wobec siebie. Jeśli przez cały rok swobodnie dobieramy to, co jemy i jak żyjemy, to okres większej dyscypliny może być szkołą samokontroli, prostoty, ograniczenia nadmiaru. Może pomóc nam mądrzej korzystać z rzeczy, które i tak mamy. Inną motywacją jest solidarność z potrzebującymi - to, co zaoszczędzę, żyjąc prościej, chcę przekazać komuś, kto ma mniej. Jednak każda motywacja, która wyprowadza mnie poza samego siebie - ku innym ludziom, ku stworzeniu, za które jestem odpowiedzialny - jest dobrą motywacją.

Dlaczego Kościół łączy post z modlitwą i jałmużną?

Już prorocy Starego Testamentu mówili o tym, że najmielszą dla Boga ofiarą jest to, żeby walczyć o sprawiedliwość, spróbować odnowić więzi w społeczeństwie, ustabilizować relacje, zatroszczyć się o tych, którzy w tym społe-

czeństwie są wykluczeni. Ta myśl powraca w Ewangelii - Jezus wiele mówi o najmniejszych i potrzebujących. Od początku chrześcijanie czuli, że ich wspólnota to nie tylko modlitwa, ale także dzielenie się tym, co mają. Wielki Post łączy więc modlitwę, post i jałmużnę, bo obejmuje wszystkie wymiary relacji. Przez modlitwę troszczymy się o więź z Bogiem. Przez post uczymy się porządkować siebie, odzyskiwać wolność wewnętrzną. Przez jałmużnę dbamy o relacje z innymi. W ten sposób odzyskujemy całościowy obraz człowieka - istoty żyjącej w relacji do Boga, do drugiego człowieka i do samej siebie.

Co zrobić, aby Wielki Post był naprawdę... wielki?

Najpierw warto zgodzić się na jedno: idealny Wielki Post nie istnieje. Nigdy nie przeżyjemy tego czasu tak, by na końcu mieć stuprocentową satysfakcję. Trzeba zaakceptować pewną nieidealność, a jednocześnie szukać wielkiego stylu w jego przeżywaniu. Po pierwsze, dobrze jest dać sobie chwilę na zaplanowanie. Warto usiąść i konkretnie pomyśleć: co chcę zrobić? Zapisać to w kalendarzu, w telefonie, a może powiesić kartkę nad biurkiem. Potrzebujemy konkretności, bo łatwo zapominać o najlepszych nawet postanowieniach. Po drugie, zgodzić się na to, że jeśli pierwszy tydzień nie wyjdzie, to świat się nie kończy. Mamy kolejne dni. Nie chodzi o perfekcyjne czterdzieści dni bez potknięcia, ale o każdy pojedynczy dzień przeżyty świadomie. Nawet jeśli wczoraj się nie udało, dziś można zacząć na nowo. Warto zaważyć o każdy dzień Wielkiego Postu. Po trzecie, trzeba pamiętać o trzech kierunkach: post, modlitwa i jałmużna. Warto je jakoś zrównoważyć. Post pomaga uporządkować wnętrze i odzyskać wolność. Modlitwa pogłębia relację z Bogiem, uczy dostrzegać Jego obecność. Jałmużna - rozumiana szerzej jako dzielenie się, wychodzenie poza własny interes - otwiera na drugiego człowieka. Chodzi o to, by Boga, którego spotykam w modlitwie i w oczyszczonym sercu, umieć zobaczyć także w drugim człowieku i przekazać dalej to dobro, którego sam doświadczam. Jeśli to się choć trochę wydarzy, Wielki Post naprawdę stanie się wielki.

KIEDY BEZ PRZERWY KONSUMUJEMY, WSZYSTKO TRACI SMAK. ŚWIADOME, KONTROLOWANE WYCOFANIE SIĘ, MOŻE POMÓC TEN SMAK ODZYSKAĆ

Janusza Rewińskiego pamiętamy głównie z roli Siary w „Kilerze”. Po pracy nad książką o nim masz wrażenie, że ta rola była dla niego prezentem, czy raczej stała się klątką?

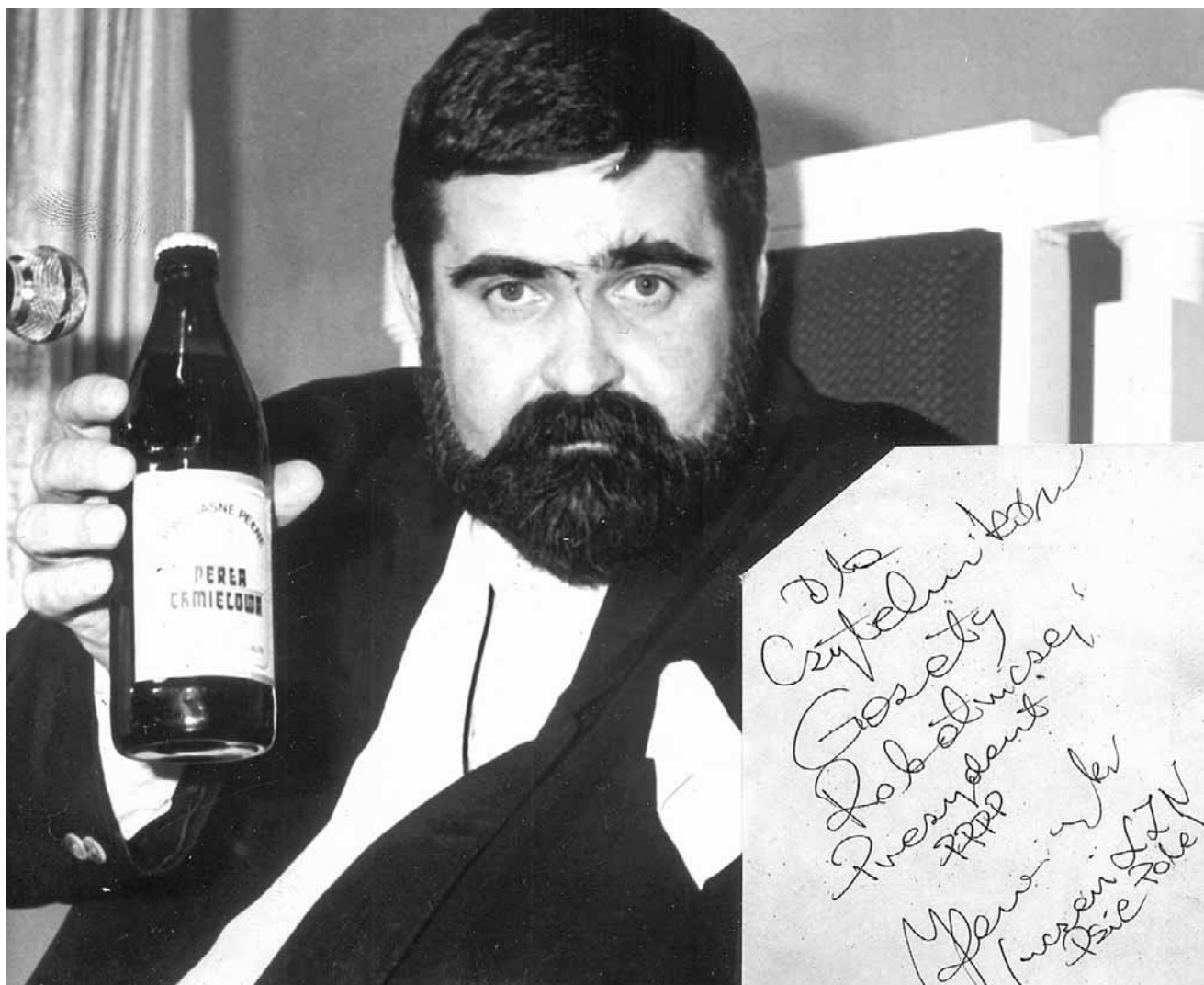
Pewnie w momencie, kiedy ją dostał, była prezentem. To też rola, w którą on wszedł bardzo przygotowany. Być może gdyby nie jego występy w kabarecie, nie wszedłby w nią z taką łatwością. Z całą pewnością więc najpierw była prezentem, ale moim zdaniem ten prezent z czasem stał się dla niego klątką. Dlaczego prezentem? Bo Siara dał mu nieśmiertelność. Do dzisiaj istnieją cytaty, posługujemy się nimi. Ale ta rola odebrała mu różnorodność. Publiczność w pewnym momencie zobaczyła w nim tylko jedną twarz: komediową, prześmiewczą. A przecież Janusz Rewiński miał tych twarzy znacznie więcej. On był przede wszystkim aktorem dramatycznym, o czym świadczą jego pierwsze role i występy w spektaklach teatralnych. Zresztą Kryśka Tkacz powiedziała mi do książki, że trochę ma do niego żal, że, jej zdaniem, zmarnował talent i poszedł w komedię. Choć pewnie nie zgodziłaby się z tym Olga Lipińska, która uważa, że komedia jest bardziej wysublimowana i wymaga większego talentu. I pewnie ma rację.

Czy kiedykolwiek osoby z jego otoczenia, bliscy, znajomi, przyjaciele, ludzie z planu, widzieli, że ta rola Siary go uwiera?

Nie tyle go uwierała. Kryśka Tkacz oceniała to raczej z perspektywy lat: że zupełnie nie został wykorzystany przez reżyserów i twórców jego talent dramatyczny. A był aktorem wybitnym. Olga Lipińska ostatnio powiedziała na spotkaniu autorskim: „Są aktorzy i jest Janusz Rewiński”. On był absolutnie wyjątkowy. To był taki aktor, który skupia uwagę: wystarczy, że wejdzie i nawet nie musi nic mówić, a już wokół niego buduje się zainteresowanie. Wystarczy, że podniesie brew i już gra. Więc to nie jest tak, że Siara go uwierał. Po prostu ta część dramatyczna jego talentu nie została wykorzystana. Reżyserzy poszli na łatwiznę: zobaczyli, że Siara to fajna rola, fajna postać z kabaretu i poszli w tę stronę. Jestem przekonana, że gdyby dostawał inne propozycje, to pewnie by z nich skorzystał. Siara więc z jednej strony był darem, bo był postacią, która weszła do języka potocznego, a to jest marzenie każdego aktora. Zresztą każdy, komu mówię „Janusz Rewiński”, odpowie: „Siara”. Ale ten dar miał cenę. On był aktorem teatralnym, człowiekiem o ogromnej inteligencji i scenicznej dyscypli-

„Dziękuję, nie jestem zainteresowany” – odpowiedział, gdy zadzwoniono do niego z pomysłem na kolejnego „Kilera”. Rewiński miał rzadką zdolność trafiania w punkt: widział paradoksy i absurd, a potem ubierał je w inteligentną formę – mówi Beata Biały, autorka jego biografii

Anita Czapryn



Beata Biały: Prawdziwego Janusza Rewińskiego ludzie właściwie nie znali

BEATA BIAŁY: KTOŚ WIĘCEJ NIŻ „SIARA”. SĄ AKTORZY I JEST REWIŃSKI

nie; o tym świadczą jego wcześniejsze role. A później jego talent został sprowadzony głównie do roli komediowych. Dla mnie najbardziej poruszające jest to, że on sam miał do roli Siary stosunek ambiwalentny. Wiedział, że

jest fenomenem. Wiedział też, że publiczność często nie chce niczego więcej. A aktor chce się rozwijać, a nie być tylko cytatą. Więc Siara go unieśmiertelnił, ale... Janusz Rewiński był kimś znacznie większym niż Siara.

W książce pokazujesz jakby dwie prędkości twojego bohatera: wizerunek publiczny, za którym idzie rozmach i życie prywatne, w którym jest cisza. Kiedy on się między tymi prędkościami przełączał? Czego w tym świecie nie znosił?

Nie znosił fałszu i iluzji, które są w świecie show-biznesu. I on nie tyle się przełączał, co oddzielał te światy. Mówią to wszyscy jego przyjaciele: nawet na planie, kiedy po zdjęciach aktorzy zostają, rozmawiają ze sobą, czasem coś wy-

piją, zjedzą, spędzają czas, to on uciekał. „Dziękuję, do widzenia” – mówił i szedł do domu. Nie uczestniczył, nie zaprzyjaźniał się na planach zdjęciowych. Po tej wielkiej aktywności, która towarzyszy produkcji, po prostu zniknął. Więc to nie jest tak, że on zniknął dopiero później, w pewnym wieku, na swojej wsi i odciął się całkowicie od show-biznesu. Właściwie zniknął każdego dnia. Na scenie był energią: rozmach, błysk, tempo, precyzja. A prywatnie wybierał ciszę. I to nie była poza. On naprawdę potrzebował spokoju, powtarzalności, wsi, ogrodu, rytmu dnia, który zresztą na tej wsi odnalazł. Jeśli już mówić o „przełączeniu”, to działo się ono w momencie zejścia ze sceny. U aktorów zwykle jest tak, że adrenalina trwa jeszcze długo po spektaklu. Aktorzy często mi mówią, że kiedy wracają ze spektaklu czy z planu, to jeszcze długo to w nich żyje; nie mogą po prostu się rozebrać i iść spać, nawet jeśli wracają w nocy. Jeszcze długo to z nich schodzi. A u Janusza Rewińskiego mam wrażenie, że było odwrotnie: on z siebie wszystko oddawał publiczności, a potem zamykał drzwi. Patrząc psychologicznie, wydaje mi się, że to jest niestety, bardzo rzadka umiejętność i mało który aktor ją ma. Mówię „niestety”, bo to się dzieje ze szkodą dla zdrowia psychicznego. Rewiński był człowiekiem, który nie mieszał tych energii: scena była miejscem ekspresji, a dom był miejscem regeneracji.

Jaki był Janusz Rewiński prywatnie?

Jego syn Aleksander Rewiński powiedział mi, że tata kochał siedzieć na ganku. Krzysztof Piasecki, jego przyjaciel, też o tym mówił: ta weranda w domu na wsi była jego ulubionym miejscem. Kiedy Piasecki do niego przyjeżdżał, oni właściwie siedzieli głównie tam. Janusz Rewiński z cygarem, patrzył gdzieś przed siebie. W ciszy, kontemplując przyrodę. To było jego ulubione zajęcie. Odniosłam wrażenie, że prywatnie był bardzo spokojnym, oszczędnym w słowach. Ale był też człowiekiem obecności. Zastanawiałam się, czy można być dobrym ojcem i aktorem, w tym sensie, że dużo pracował, często go nie było w domu, a potem wyniósł się na wieś. Rozmawiałam z jego synami, i po długiej rozmowie z Aleksandrem, zresztą po wielu z nim rozmowach, bo jesteśmy nieustannie w kontakcie, wiem jedno: te słowa, które Aleksander o nim mówił, nie były wypowiedziane na potrzeby książki. Była w nich niepodważalna

FOT. WOJTEK WILCZYŃSKI

prawda. Ktoś, kto tak ciepło opowiada o ojcu, ze szczegółami, co robili, jakie rady dostawał, może świadczyć tylko o tym, że ta relacja naprawdę była dobra. Janusz Rewiński był obecny w życiu swoich synów. To nie był człowiek deklaracji, tylko człowiek obecności. Okazywał się konkretem: w czynach, w odpowiedzialności. Odbierał, przywoził, naprawiał, pamiętał. Nie był wylewny. Jego „kocham” nie było spektakularne, ale to była miłość stabilna. I wydaje mi się, że taki rodzaj miłości bywa najtrwalszy.

Co dla ciebie, przy pisaniu tej książki, było najtrudniejsze? Napisałam już kilka biografii: o Osieckiej, Korze, Nowickim, i chyba najtrudniejsze zawsze jest oddzielenie legendy od człowieka. Siara był głośny, barwny, cytowany. A Janusz Rewiński, jak sama zauważyłaś, był z cisy. I trzeba było się po prostu w tę ciszę wsłuchać. Stąd zresztą mój początek: od dzieciństwa, a nawet od czasów sprzed jego urodzenia, od miejsca, z którego pochodził.

Pochodził z Żar. Piszesz o tym mieście. Żary, kiedy się tam urodził i dorastał, wciąż miały w sobie niemiecki klimat, powiedziałabym „niemieckie powietrze”. Przecież z lotniska, na którym Janusz Rewiński się wychował, 1 września 1939 roku startowały samoloty, które bombardowały Polskę. On żył w historii, a to nigdy nie jest obojętne. Jego tata nie opowiadał o wojnie, bo była dla niego zbyt bolesna, zbyt trudna do wypowiedzenia. Zostawiła zbyt wielkie rany. My w większości znaliśmy Janusza Rewińskiego głównie z ról komediowych: rubaszny, wesoły. Najtrudniejsze było więc nie zakochać się w anegdocie, bo o nim opowiada się świetnie. Jest błysk, humor, inteligencja, puenta. Jak mówiłam: wystarczyło, że podniósł brew i wszyscy reagowali. A ja chciałam dotrzeć pod to. Zresztą we wszystkich biografiach, które piszę, lubię pogrzebać głębiej: dotrzeć do sedna, do tego, co jest w milczeniu, w wycofaniu. Dla mnie trudne były dwa momenty. Pierwszy: pisanie o ostatnich latach i o jego wycofaniu, bo ktoś mógłby to zinterpretować jako przegrana, a to wcale nie była przegrana. To był wybór. Drugi moment, to fragment o PiS, o tej jego wolcie, którą wykonał.

Wsparł Andrzeja Dudę jako kandydata na prezydenta. I nikt nie potrafił powiedzieć dlaczego, co się stało? Nikt. Nie mnie to oceniać. Zresztą, ja w ogóle daleka jestem od oceniań, skąd to się

wzięło, z jakich rozczarowań, bo jeśli już, to tak bym do tego podeszła, i z jakich nadziei. Trudne było też, chyba to najtrudniejsze, że prawdziwego Janusza Rewińskiego ludzie właściwie nie znali. On schodził z planu i wracał do domu. Znało go kilka osób. Krzysztof Piasecki powiedział mi, że Janusz w ogóle nie opowiadał o dzieciństwie, choć takie pytania w rozmowach się pojawiały. Byli w stałym kontakcie, też zawodowym, bo razem pracowali, a później SMS-owym, bo pisali do siebie bez przerwy. Zresztą te SMS-y są w książce. Ale nie było tam rozmów bardzo głębokich, takich, które rozstrzygają problemy, dylematy. Rewiński się nie radził. I nie opowiadał o sobie.

Krzysztof Piasecki mówi w książce, że Janusz Rewiński zanim poszedł do szkoły teatralnej, chciał być lotnikiem. To przez to lotnisko i Żary? Z lotnictwem było tak, że pewnego dnia poszedł z kolegami na basen wojskowy. Akurat na przepustkę przyjechał starszy kolega. W pięknym lotniczym mundurze z lśnącymi metalowymi „mewkami” w klapach. Do tego cudowna czapka elewa szkoły oficerskiej. Rewiński aż zaniemówił na jego widok. To wtedy zamarzył, by zostać lotnikiem. Poszedł więc do technikum Budowy Silników Lotniczych we Wrocławiu. Tam zresztą nauczył się inżynierskiego porządku i logiki.

Nie pochodził z rodziny, w której były tradycje teatralne czy aktorskie. Co go pchnęło do szkoły aktorskiej? Myślę, że serce ciągnęło do innego rytmu. Dyscyplina i reżim wojskowej szkoły nie były dla niego. Szukał ucieczki. Już wtedy zaczęły się jego pierwsze artystyczne „występy”. Opowiadał dowcipy kolegom, a oni śmiali się do rozpuku. Nauczyciele parzyli z dezaprobatą, z wyrzutem mówili, że chyba pomylił szkołę. Coraz bardziej wiedział, że mają rację. Jeden z kolegów szkolnych dostał się do szkoły aktorskiej i wtedy Rewiński pomyślał, że skoro jemu się udało, to może też spróbuje. Lepiej od niego recytował Szymborską i Herberta. Myślę, że duży wpływ na tę decyzję miała nauczycielka polskiego, która zabierała przyszłych lotników do teatru. Janusz zakochał się w tej atmosferze. W tym, że na godzinę czy dwie przenosił się do zupełnie innego świata.

W tej biografii ważnym wątkiem jest polityka. Co sprawiło, że chciał iść do Sejmu? Czuł się niedoceniony? Fascynował się politykami? Miał ambicje polityczne? Co uzna-

jesz za najbardziej prawdopodobne? Na pewno nie poszedł do Sejmu z próżności ani dla kariery politycznej czy dla pieniędzy. Poszedł z ciekawości. Albo z nadziei, że może uda mu się coś zmienić. Zresztą sam mówił, że trafił tam trochę przypadkiem, bo partię założył właściwie dla żartu.

I żart okazał się czymś poważnym. No właśnie. A potem okazało się, że rzeczywiście trafia do Sejmu. Tylko że moim zdaniem, to się nie mogło udać również dlatego, że wokół tej inicjatywy zgromadziło się sporo dziwnych ludzi. On sam szybko zobaczył, że świat polityki jest kompletnie nie dla niego. Zobaczył też, że tam w gruncie rzeczy od niego niewiele zależy. To, co zobaczył, rozczarowało go. Demokracja okazała się teatrykiem, procedury przesłaniały sens. On się w tym męczył. Sam zresztą potem mówił, że bycie posłem to nie teatr, ale często wygląda jak kiepska komedia. Krótko mówiąc: to nie była dla niego rola. Wyszedł z tego Sejmu z przekonaniem, że jego prawdziwe miejsce jest zupełnie gdzie indziej. To był u niego epizod, nie tożsamość. I bardzo szybko zobaczył, że jego język ironii i skrótu, a był w tym mistrzem, w polityce nie działa tak jak na scenie.

Powiedział: „Satyryk nie może być politykiem”. Co kryje się za tym zdaniem: rozczarowanie czy ulga? Myślę, że ani rozczarowanie, ani ulga. Raczej trzeźwa ocena sytuacji. Wejście człowieka teatru w świat polityki jest jak wejście do miejsca, w którym nie ma prób generalnych, co go zresztą dużo nauczyło. On po prostu poznał ten świat i zobaczył, że to nie jest przestrzeń dla niego, że wszystko działa inaczej niż na scenie. I chyba w dużej mierze nie podobalo mu się też to, że tam nie jest uczciwie w prostym sensie, że wiele decyzji zależy od układów, zależności, koneksji. W tym nie umiał się odnaleźć.

Czy można powiedzieć, że wyjazd na wieś był jego ostatnią rolą? Co on tam właściwie robił? Poszedł po spokój i co ten spokój mu dawał? Jakie konkretne czynności, działania, rytuały? Dla niego ważne było to, że tam wszystko ma określony rytm dnia. Że nie ma kamer. Że można być prawdziwym. Ja go zresztą rozumiem: sama czasem uciekałabym na jakąś daleką wieś i zostawiła ten świat za sobą. Jest taka scena, którą bardzo lubię przywoływać, bo ona od razu obala stereotyp, że on się „wycofał”,

choć w ogóle nie wiem, czy „wycofał” jest dobrym słowem. Kiedy Cezary Pazura zadzwonił do niego, bo w pewnym momencie pojawiła się szansa na kolejnego „Kilera”, zapytał: „Panie Januszu, jest taka szansa...”. A Rewiński odpowiedział: „Dziękuję, nie jestem zainteresowany”. To nie była ucieczka. To był wybór. Na wsi nie musiał niczego udowadniać, nie musiał przeżywać medialnego co wychodzi, co nie wychodzi”. Tam życie jest naturalne i proste. Wszystko odbywa się w określonym porządku. Jest jakaś logika. On potrzebował konkretu: ziemi pod ręką, rytmu pór roku. To był jego sposób na równowagę po latach życia w tempie sceny i mediów. Tam był po prostu sobą: uprawiał ogród, zajmował się końmi, czytał, słuchał, spotykał się z ludźmi, z sąsiadem zamieniał parę zdań. Proste, zwyczajne życie.

W książce jest też obraz tego, że wstawał o czwartej rano. Jak prawdziwy chłop! Bo taki jest porządek natury. Żyje się w rytmie, jaki wyznacza przyroda. Słońce latem wstaje o czwartej, więc wstaje się razem z nim. Zobacz, jak to porządkuje dzień, jak porządkuje przede wszystkim głowę. W mieście aktor na scenie musi być postacią. Na wsi można być tylko, a może właśnie aż, człowiekiem. Więc moim zdaniem ta wieś nie tyle była końcem kariery, co świadomym wyborem. I teraz się nad tym zastanawiam, że była może najbardziej autentycznym etapem jego życia.

Wy tłumaczył to jednym zdaniem: „Nie obraziłem się. Po prostu nie mam już ochoty”. Jak ty rozumiesz to zdanie? To było zmęczenie czy potrzeba wolności? Wciąż mam w głowie to jego: „Dziękuję, nie jestem zainteresowany”. Myślę, że on miał tego po prostu dość: życia w takim tempie, w takiej niepewności, w ciągłych rozczarowaniach. Aktorzy mówią mi często: „Tu nie ma stabilności. Tu nie ma pewności”. Kilka dni temu rozmawiałam z młodym aktorem, który już wie, że może uznać rolę za pewną dopiero wtedy, kiedy jest co najmniej tydzień na planie. Bo zdarzają się sytuacje, że komusь dziękuje się nawet w trakcie zdjęć, bo twórcy się rozmyślili. Myślę więc, że Rewiński miał dość tej niepewności, czy się spodoba, czy się nie spodoba, tego, że wiele zależy od władzy w telewizji albo od innych władz i decyzji, na które aktor nie ma wpływu. I to jego „nie jestem zainteresowany”, „nie mam ochoty” to nie była rezygnacja z życia. To była odmowa uczestniczenia w czymś, co przestało być jego. Ja to rozu-

miem jako granicę. On był człowiekiem, który wiedział, kiedy coś w nim gaśnie. Nie udawał, że wciąż pali się w nim płomień. Jeśli nie miał ochoty grać, udawać, bywać, uczestniczyć w medialnym obiegu, to nie grał entuzjazmu. Myślę, że to jest bardzo dojrzałe. Wielu ludzi w jego sytuacji pewnie grałoby dalej, bo tak wypada, bo pieniądze, bo sława... A on powiedział: „Nie, dziękuję”. To był jego wybór. Nie z lęku, tylko z potrzeby sensu. Nie stracił ochoty na życie. On stracił ochotę na bycie postacią.

Uważasz, że wieś go uzdrowiła? Myślę, że tak, przede wszystkim psychicznie. Ta wieś zrobiła dla jego wewnętrznej równowagi więcej niż jakiekolwiek deklaracje czy plany. Tam odetchnął. Tam wrócił do siebie. Gdyby czuł się źle, gdyby to było tylko schronienie z konieczności, po prostu by wrócił. A on nie był tam z przymusu. Wybrał to miejsce świadomie. I został, bo było mu tam dobrze.

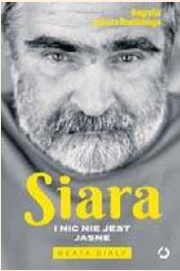
W tej rozmowie nie dotknęłyśmy jeszcze tego, że był satyrykiem, komikiem. Miał poczucie humoru, które było jego znakiem rozpoznawczym i cieszyło się ogromnym powodzeniem. Myślę, że Olga Lipińska potwierdziłaby, jak bardzo był w tym wyrazisty. Janusz Rewiński, dzięki swojej przenikliwej inteligencji, operował humorem nieoczywistym. To nie był dowcip dla samego efektu. To był sarkazm podszyty myśleniem. Miał też znakomitą szkołę – Kabaret Olgi Lipińskiej, czyli satyrę na najwyższym poziomie. Inteligentną, wymagającą, czasem bezlitosną. W tej satyrze śmiech był tylko pierwszą warstwą. Śmialiśmy się, bo było zabawnie, ale kiedy żart się kończył, zostawała cisza i niepokojąca refleksja: „To przecież o mnie”. Rewiński miał niezwykły dar trafiania w punkt – dostrzegał paradoksy, absurdy, pęknięcia rzeczywistości i potrafił ubrać je w formę ostrą, inteligentną, mocną. Śmiech u niego nigdy nie był ucieczką. Był narzędziem prawdy.

Na koniec chcę zapytać o tytuł twojej książki: „Siara. I nic nie jest jasne”. No tak, wszyscy pytają o ten tytuł.

Co w jego życiu jest dla ciebie najbardziej niejasne? I czy tę niejasność trzeba po prostu uszanować? Tytuł wziął się z kultowego powiedzenia: „Siara i wszystko jasne” – zdania, które sam wymyślił i które weszło do języka potocznego. Mówimy je do dziś, niemal

automatycznie. To jeden z tych cytatów, które przecho- dzą z pokolenia na pokolenie. A jednak, kiedy zaczęłam przyglądać się jego życiu bliżej, zobaczyłam, że wcale nie wszystko było jasne. Im głębiej wchodziłam w jego biografię i w jego – często bardzo nieoczywiste – wybory, tym więcej pojawiało się znaków zapytania. Wieś. Polityka. Wycofanie się z życia publicznego. To decyzje, które trudno sprowadzić do jednego powodu. Najbardziej niejednoznaczne pozostaje właśnie odejście. Czy była to potrzeba cisy? Zmęczenie rolą? Rozczarowanie światem? A może naturalny etap dojrzewania – moment, w którym człowiek już nie chce uczestniczyć w tym samym biegu? Rozumiem tę potrzebę. Sama czasem ją czuję – chęć wycofania się ze świata, który pędzi i coraz częściej traci proporcje. Ale Janusz Rewiński nie zostawił jednoznacznej odpowiedzi. Podobnie jest z pytaniem o spełnienie. Z zewnątrz widzimy sukces – rozpoznawalność, cytaty, kultową rolę, która zapewniła mu trwałe miejsce w pamięci widzów. W środku – ciszę, ograniczenie kontaktów, świadome zawężenie świata. W tej książce nie próbuję rozstrzygać, czy to był wybór z siły, czy z rozczarowania. Pokazuję raczej napięcie między tym, co widoczne, a tym, co przemilczane. Im dłużej pracowałam nad tą historią, tym wyraźniej czułam, że nie dostanę stuprocentowej odpowiedzi. I może właśnie w tym tkwi sens. Może nie wszystko powinno być dopowiedziane. Może tajemnica jest częścią prawdy o człowieku. Jedno powtarza się jednak we wszystkich wspomnieniach: był człowiekiem uczciwym i dobrym. To zdanie usłyszałam także od jego żony. Rozmawialiśmy długo przez telefon. I choć nie miała siły na rozmowę do książki – jego odejście było dla niej zbyt świeżym bólem, a myśli wciąż są niepokładane, pozwoliła mi przekazać, że był dobrym człowiekiem. I to zdanie, proste, bez patosu, określa Janusza Rewińskiego najmocniej.

KSIAŻKA



Beata Biało,
„Siara. I nic nie jest jasne”,
Wydawnictwo: Otwarte,
Warszawa 2026

Padłe krowy i konie wyciągano pod ambony, a następnie faszowano trucizną. Egzekutorzy mieli dobijać podtrute wilki, ale też pilnować, by do padliny nie dobrały się inne gatunki. Tak naprawdę, żeby dorosły wilk padł po zjedzeniu toksycznego trucha, musiał przyjąć pokaźną dawkę luminału, lecz nawet wtedy skutek nie był pewny. Zwykle zwierzęta te wymiotowały i po jakimś czasie wracały do równowagi. Inne chodziły półprzytomne i stawały się łatwym celem dla myśliwych, a pewna ich liczba nie mogła o własnych siłach ruszyć się spod nęciska. Wilki wciąż żyły, ale cierpiały. Ich czas był policzony. W końcu same zasypiały na wieki wieków bądź też ginęły od kuli łowcy, który sprawdzał rewir lub kończył dyżur w czatowni.

Oficjalnie minister leśnictwa i przemysłu drzewnego Jan Dąb-Kocioł zgodę na trucie wilków wydał 6 czerwca 1960 roku, ale zapowiedzi takiej metody walki z drapieżnikami pojawiły się w mediach dwa lata wcześniej. Już wtedy wiadano, że samo odstrzeliwanie, chwytanie w sidła i wybieranie szczeniąt z gniazd to za mało, by poradzić sobie z watahami. Nie tylko w Bieszczadach i Beskidzie Niskim – podobny problem dotyczył całego pasa wschodniego wzdłuż granicy z ZSRR, od Pogórza Przemyskiego aż po Suwalszczyznę, a ponadto Rostocza, Warmii i Mazur oraz kilku rejonów na zachód od Wisły. Myśliwi nie radzili sobie z nałożonym na nich obowiązkiem likwidowania wilków, bo nie zawsze skutecznie je lokalizowali. Zimą głęboki śnieg niekiedy wręcz uniemożliwiał długie marsze po lesie. Chłopi i robotnicy, zachęceni opłatą do naganek, brnęli metr po metrze w zaspach po uda, ale w końcu tracili ochotę na tak wyczerpującą wyśięk.

Samolotem na drapieżnika

Żeby poprawić niezadowalające wyniki, wilki ponownie – tak jak w drugiej połowie lat pięćdziesiątych na Lubelszczyźnie – tropiono z samolotów. Na prośbę Ludwika Siedleckiego, naczelnego komisarza do walki z wilkami, kukuruźniki z aeroklubów rzeszowskiego i krośnieńskiego fruwały nad podkarpackimi lasami. Obok pilota siedział obserwator, który po dostrzeżeniu tropów szarych drapieżców bądź samych wilków informował o tym myśliwych na ziemi przez krótkofalówkę. Ci natychmiast obstawiali dany obszar i zaczynało się wielkie strzelanie. Jeśli akcja była udana, do przestrzeni publicznej trafiał przekaz o „zlikwidowaniu szkodników”. Termin „szkodnik” był używany w od-

KOTLET Z LUMINALEM, CZYLI JAK TĘPIONO WILKA W BIESZCZADACH

„Służba leśna województwa rzeszowskiego przystępuje do akcji tępienia wilków przez zastosowanie metody prof. Zajcewa z ZSRR. Metoda ta, polegająca na truciu (...) luminalem, czyli środkiem nasennym (który w większych dawkach jest silną trucizną) – zastosowana będzie w Polsce po raz pierwszy” – informowały w marcu 1958 roku „Nowiny Rzeszowskie”

Krzysztof Potaczala



Myśliwi i martwy wilk. Za zabicie szarego drapieżnika państwo wypłacało nagrody (nie tylko myśliwym) w wysokości tysiąca, dwóch, a z czasem nawet trzech tysięcy złotych

niesieniu do gatunku *Canis lupus nader* często, podobnie jak określenia: „zabójca”, „morderca”, „rabus”, „złodziej”, „bandyta”. I tak dalej.

– A kim lepszym można nazwać tego gada? – pyta niejako sam siebie stary myśliwy, który przez lata naoglądał się wilczych ofiar i za każdym razem brał odwet. Nie dla pieniędzy, zapewnia, lecz z obowiązku i przekonania. – Każdy, komu zależało na równowadze w lesie – dopowiada – powinien odzładować choć jedną kulę na wilka. Jeśli nie był w związku łowieckim i nie miał broni, to mógł wysledzić wilczą norę i założyć w jej pobliżu potrzask. Żeby jakiś wilk weń wpadł, zawył z bólu i żeby już nie mógł się uwolnić.

Pomysłów na zabijanie nie brakowało.

„Rejon Lasów Państwowych w Sanoku posiada wilczyce. Myśliwi sanoccy (...) wywożą w klatce waderę, której wycie zwabia stada wilków. Znajdujący się na czatach w pobliżu mają wtedy ułatwione polowanie. W ten sposób zastrzelono ostatnio trzy sztuki” – podawały w lutym 1958 r. wspomniane „Nowiny Rzeszowskie”.

Wypłacano wtedy – tak jak i później – nagrody finansowe już nie tylko za odstrzelenie wilka (tysiąc złotych, z czasem dwa i trzy tysiące) lub wybranie młodych z gniazda, lecz nawet za zlokalizowanie wilczych tropów. By otrzymać pięćset złotych, nie trzeba było zabijać, wystarczyło pośrednio przyczynić się do rychłego uszczuplenia wilczej populacji. Niektórzy niemal zawodowo zajmowali się odnajdywaniem tropów. Zwłaszcza ci, którzy znali las i jego tajemnice. W każdej części Polski, w której żyły wilki, nie brakowało drwali, wozaków, zbieraczy runa i poroży. Szybko nauczyli się oni odczytywać ślady zwierząt, szczególnie drapieżnych. Gdy tylko natrafiali na odbite w śniegu lub błocie wilcze łapy, natychmiast informowali o nich najbliższe leśnictwo. Potem wszystko toczyło się wedle znanego schematu: myśliwi otaczali konkretny obszar, grodzili go liną z czerwonymi szmatkami, a potem płoszyli drapieżniki i urządzali kanonadę. Wilki biegały jak opętane między krzakami i drzewami, pragnęły wydostać się z pułapki, ale gdy tylko doskakiwały do ogrodzenia, w żaden sposób nie mogły go przeskoczyć. Strach przed pokonaniem tej bariery – niewysokiej, bo ledwie trzydziestocentymetrowej – był silniejszy.

Ale czasami któryś z dorosłych wilków zdobywał się na heroizm. Kiedy nadzwyczajnym wysiłkiem własnej psychy forsował nieprzekraczalną dotąd granicę, pozostałe szły za nim jak w dym. I wtedy to one wychodziły zwycięsko z potyczki z uzbrojonymi łow-

FOT. ZBIORY PRYWATNE KRZYSZTOFA POTACZALA



FOT. ZBIORY PRYWATNE KRZYSZTOFA POTACZAKA

Narada łowców przed polowaniem. Okolice Ustrzyk Dolnych, lata 60. XX wieku

cam. Odzyskiwały wolność, ową przestrzeń życia, która sekundy wcześniej wydawała się niemożliwa. Taka grupa była od tej pory jeszcze ostrożniejsza, a jej eliminacja – mocno utrudniona. Wilki mają przecież doskonałą i długą pamięć. Po złych doświadczeniach ważyły każdy swój krok i długo obwąchiwały teren, zanim zaległy na odpoczynek.

Tadeusz Misiuda, bieszczadzki leśnik i myśliwy, przekonał się o tym pewnego zimowego dnia, kiedy wraz z kolegami ofladował kawał lasu, w którym „na sto procent siedziały te skurczybyki”, a potem się okazało, że przechrztyli ludzi. – Wracalem do domu jak niepyszny i nie umialem pojąć, jak to się mogło stać. Przecież sam je w tym rewirze zlokalizowałem, byłem przekonany, że są już moje, a jednak uszły. Tego dnia nabrałem szacunku do wilków, choć nie zamierzałem im darować.

Misiuda miał z wilkami osobiste porachunki. Najpierw zaabiły mu na łąkach w Stuposianach dwa cielaki i jałowkę, a później, kiedy już mieszkał w sąsiednich Pszczelnach – sześćsetkilogramowego byka. Polował już dużo wcześniej, ale po przykrych wydarzeniach jeszcze bardziej zapalił się do ścigania – jak podkreśla – nienazartych drapieżców. Zgłębokich Bieszczadów jeździł niekiedy winne rejon, za Ustrzyki Dolne i pod Przemyśl, gdzie wspólnie z innymi łowcami organizował obławy.

– Nie strzelaliśmy na odwal, bo w taki sposób mogliśmy przynieść więcej szkody niż pożytku. Ranny wilk mógł się dolewać do gęstego młodnika i dopiero tam paść. Nikt by go

nie znalazł. Dlatego w wolnych chwilach ćwiczyliśmy oko. Wśród nas Grzegorz Strouhał, olimpijczyk z Monachium w strzelaniu do rzutków, czterokrotny mistrz Polski w tej konkurencji i wicemistrz Europy w drużynie. Ciągłe nam powtarzał, że nigdy dość treningu.

Fiolka luminalu na 14 dag mielonego mięsa

Mimo że wilka w 1955 r. wyjęto spod prawa, wciąż pozostawał stworzeniem, które – jak wszystkie inne – czuje ból. Co więcej, nie był pozbawiony uczuć. Etyczny myśliwy miał obowiązek zabijać tak, by nie przysparzać zwierzęciu zbędnych cierpień. Jeden strzał i śmierć. Tyle teoria. W praktyce setki wilków kończyły żywot na raty, a wielu z nich nigdy – mimo pomocy psów – nie zdołano odszukać. Mowa tu o polowaniach w rozumieniu kodeksu łowieckiego, nie zaś o barbarzyńskim truci zwierrząt i ich dobijaniu, kiedy już były zupełnie bezbronne i może nawet czekały na skrócenie męczarni.

Czasami między myśliwymi dochodziło na tym tle do spięć. Niektórzy rywalizowali o to, kto w najkrótszym czasie otruje lub w inny sposób uśmierci więcej wilków, a tym samym zarobi więcej pieniędzy. Już nie na motocykl, lecz może nawet na syrenkę – motoryzacyjne marzenie tysięcy obywateli PRL-u.

Luminal, znany od 1912 roku, to środek uspokajający, nasenny i przeciwdrgawkowy z grupy barbituranów. Stosowano go często u chorych na epilepsję. W większych dawkach powoduje śpiączkę i pora-

żenie układu oddechowego. Służby weterynaryjne opracowały dokładną procedurę podawania tej toksyny szarym drapieżnikom. Przypominała ona przepis z książki kucharskiej dla szaleńców lub tajemnej księgi magów:

„Na 14 dag mielonego mięsa dać fiolkę luminalu o zawartości 14 gramów. Wymieszać środkiem z mięsem, sformować 14 dag kotletów, zanurzyć w łożu bydlęcym i tak przygotowane kotlety umieścić w drewnianym pudle wyścielonym świeżym igliwem. W godzinach wieczornych podkładać kotlety pod rozrzucone kości na śmietniku” – czytamy w dokumencie dotyczącym akcji wilczej.

Komisarze do walki z wilkami zostali przeszkoleni, a następnie sami przeszkolili myśliwych w terenie, by postępowali ostrożnie i nie dotykali trucizny gołymi rękami. – Wykładałem nieraz przed zmrokiem zatrutą padlinę w asyście Antoniego Ostrówki, komisarza rejonowego na powiat ustrzycki – opowiada Jan Kułacki. – Zawsze w gumowych rękawiczkach, zgodnie z przepisami. Rano musieliśmy obowiązkowo wrócić na miejsce i sprawdzić, czy wilki żerowały na truchle.

– Pamiętam, jak tato przygotowywał w domu kotlety mielone z domieszką luminalu – wspomina Marian Ostrówka, syn Antoniego. – Nam, dzieciom, nie pozwalał niczego dotykać, robił wszystko z zachowaniem norm bezpieczeństwa. Potem wywoził te kotlety pod chatownię i faszerował nimi końskie tusze.

Padłe zwierzęta kupowano najczęściej od zarządu parków konnych w Bieszczadach. Wy-

niszczono chorobami lub długotrwałą ciężką pracą przy zrywce i transporcie drewna z lasu, w końcu umierały. Ale nie pozostawały bezużyteczne – ich martwe ciała zwabiały wilki i inne drapieżniki.

Ryszard Buziewicz: – Kupowałem mięso w masarni i razem z kolegami formowałem z niego półokrągłe kotlety. Wyglądały apetycznie, a zapach powodował, że mieliśmy ochotę je sobie usmażyć. Potem wypełnialiśmy je luminalem, obwiązywaliśmy sznurkiem i wieźliśmy do lasu. Taką operację przeprowadziłem wielokrotnie.

Jan Kułacki: – Kiedyś dostaliśmy od komisarza Ostrówki zatrutą przynętę w kształcie jaja. Było powleczone łożem i lekko podsmażone. Intensywny zapach ścigał drapieżniki, ale nie od razu podchodziły i rzucały się na żer. Kluczyły, obwąchiwały smakowały, odchodziły, wracały i dopiero po pewnym czasie, choć tylko niektóre, zaczynały jeść.

Kruki wisały jak nietoperze

Luminal miał spowodować, że wilki zostaną zlikwidowane szybciej i łatwiej. Tymczasem z raportu dotyczącego akcji wilczej wynika, że ten sposób pozbywania się niechcianych zwierząt był mało skuteczny. Na dowód Marian Ostrówka przypomina pewne wydarzenie: – Kiedyś ojciec opowiadał, że mięsa z taką wkładką pojawiały się na końskiej padlinie i wydziobywały kolejne kęsy. Już nasycone, odleciały na najbliższe drzewa, a po chwili zasnęły. Wisały na gałęziach jak nietoperze,

głowami w dół, zupełnie nieruchome. A potem się przebudziły i odfrunęły...

Rejonowy komisarz spędzał w terenie więcej czasu niż w domu. – Nam, dzieciom, nie bardzo się to podobało, ale operacja przeciwko wilkom była priorytetem – relacjonuje dalej syn Antoniego. – Nawet mama godziła się z częstą nieobecnością taty. Pamiętała, że wilki nie raz i nie dwa napadały na owce jej ojca, więc wyjazdy swego męża na polowania traktowała jak obowiązek i swego rodzaju rozliczenie z drapieżnikami. Ojciec przemierzał swoją wufemką połowę Bieszczadów, aż po wioski i osady położone pod połoninami. A po powrocie do domu, czasami po dwóch, trzech dniach, ślecał do nocy nad papierami, bo musiał sporządzać szczegółowe raporty z operacji niszczenia wilków. Raz w miesiącu rozliczał się przed komisarzem wojewódzkim, który nie tolerował jakichkolwiek uchybień.

– Zabijanie za pomocą trucizny od początku mi się nie podobało – nie ukrywa Stefan Dyrda. – Zawsze istniało niebezpieczeństwo, że środek przeznaczony dla wilków przyjmie wraz z padliną inna zwierzęcina.

– W istocie zdarzało się, że mięso z luminalem zjadały dziki, lisy, kuny czy kruki – dopowiada Tadeusz Zajac. – Niektóre z tego powodu traciły życie i to był jasny sygnał, że trzeba zrezygnować z wykładania trucizny. Ale nie decydowali o tym szeregowi myśliwi, lecz komisarze po konsultacji z przełożonymi w województwie. Ci z kolei musieli uzyskać pozwolenie od komisarza krajowego.

W rejonie Lutówki luminal odołożono na półkę po kilku

miesiącach stosowania. Pewnie by do tego nie doszło, gdyby nie przypadek. – W Nasicznem padł stary koń, więc jeszcze tego samego dnia zawlokłem truchło na leśną polanę, w pobliże ambony – wspomina Franciszek Kaźmierczyk. – Przed zmrokiem miał przyjechać komisarz rejonowy, by napełnić trucizną padlinę. Ostatecznie nie doczekałem się wizyty, ale zasiadłem w chatowni z nadzieją, że mimo wszystko ustrzelę wilka. Po paru godzinach zmorzył mnie sen. Gdy nad ranem się obudziłem, dostrzegłem przez okienko, że koń leży inaczej niż wieczorem. Pomyślałem, że pewnie w nocy biesiadował przy nim niedźwiedź, ale dla bezpieczeństwa zszedłem dopiero dwie godziny później, przy jasnym niebie. Kiedy się zbliżyłem do truchła, ze zdumieniem dostrzegłem na ziemi ślady męskich trzewików. Ktoś wyrzucił z martwego zwierzęcia duże płyty... Z lasu pojechałem prosto na posterunek milicji. Po nitce do kłębka i kilka godzin później znaleźliśmy z sierżantem skradzioną koninę. Leżała w baraku w Nasicznem, w blaszanej miednicy za kuchennym przepierzeniem. W budynku mieszkała wielodzietna rodzina, dla której to ściervo, wcześniej wymoczone w denaturacie, miało być niedzielnym obiadem.

Ludzie nie zawsze czytali ogłoszenia, mimo że – zgodnie z zarządzeniem gromadzkich rad narodowych – w odległości od pięciuset do tysiąca metrów od miejsca składowania padliny umieszczano tablice informacyjne o stosowaniu trucizny przeciw wilkom. Miał ostrzegać przed dotykaniem martwych zwierząt. Nikomu nie przyszło na myśl, że mógłby się znaleźć ktoś, kto poważałby się zabrać zepsute mięso do domu, żeby ją usmażyć i zjeść.

POLECAMY



Artykuł jest fragmentem książki Krzysztof Potaczal pt. „Czwolik i wilk. Historia spaliona krwią”. Wydawnictwo Znak Horyzont, Kraków 2026. Premiera książki: 11 marca 2026 r.

BOLLWERK: MILION MAREK W OGNIU

Mały oddział kilkunastu poznańskich żołnierzy Związku Walki Zbrojnej wyrządził okupantowi w czasie jednej akcji 20 lutego 1942 roku straty sięgające co najmniej miliona marek

Grzegorz Okoński

O przeprowadzonej w nocy z 20 na 21 lutego akcji generał Władysław Sikorski specjalnie zawiadomił Stalina, bo wpłynęła ona na sytuację wojsk niemieckich na froncie wschodnim...

Armia niemiecka notowała bowiem w 1941 roku nieustające sukcesy na froncie wschodnim: rozbiła wszystkie duże rosyjskie związki przygotowywane wcześniej do ataku na zachód, dominowała w powietrzu i na lądzie, spychając zrezygnowanych i poddających się Rosjan coraz dalej na wschód i dochodząc do Moskwy. Ale nie była przygotowana do starcia z najgroźniejszym wrogiem, jaki od setek lat był sojusznikiem Rosjan - zimą. A zima przełomu 1941/1942 należała do najsroższych, jakie notowano: temperatury sięgały na minusie trzydziestu - trzydziestu pięciu stopni, do tego od października padały deszcze, czyniąc wszystkie i tak nieliczne drogi nieprzejezdnymi i unieruchamiając sprzęt wojskowy. Sam Joseph Goebbels, minister propagandy oceniał niemieckie straty na froncie wschodnim od 22 czerwca 1941 r. do 20 lutego 1942 r. na 199 448 żołnierzy poległych, 70 8351 rannych, i 44 342 zaginionych, a do tego notował 11 2627 przypadków odmrożeń! W tych warunkach okazało się, że armia nie ma ciepłych mundurów, płaszczy, zimowego wyposażenia i po prostu - zamarza na froncie! W Niemczech ogłoszono zatem zbiórkę kożuchów, ciepłych butów, rękawic, szali, ciepłej bielizny - wszystkich, co można byłoby szybko przekazać żołnierzom. Dla tych rzeczy utworzono wielkie magazyny, w których gromadzono zapasy dla armii - i jeden z nich ulokowano w kompleksie budynków magazynowych portu rzeczno-ego w Poznaniu.

Sierżant Garczyk obserwuje port

Sam port zbudowany był w latach 1896 - 1902 i później rozbudowany. Składał się z szeregu magazynów lekkiej, drewnianej konstrukcji, często przylegających do siebie. Okupujący Poznań od 10 września 1939 roku Niemcy pilnowali kompleksu, ale wobec wprowadzonego przez siebie terroru i rozbijania kolejnych powstających grup ruchu oporu, nie



Straty w wyniku pożaru magazynów ocenia się na milion - a nawet do trzech milionów marek!



Antoni Gąsiorowski - „Ślepy”, „Ślepy Antek”

przypuszczali, że Polacy są w stanie tutaj właśnie zadać im bolesny cios. A magazyny nad Wartą przyciągnęły uwagę starszego sierżanta Michała Garczyka, ps. „Kuba”, który dowodził Oddziałem Dywersji Bojowej, podlegającej Wielkopolskiemu Kierownictwu Związku Odwetu. Miał on już na koncie kilka aktów dywersji związanych z podpaleniami obiektów działających na rzecz gospodarki okupanta - w Grudziądzu, Wrocławiu, czy w Goslar. Ponadto uszkadzał też wagony i parowozy, czemu sprzyjał fakt, że jeździł po Wielkopolsce w mundurze kolejarskim i nie budził przez to podejrzeń.

Garczyk, rozglądając się po okolicy portu rzeczno-ego, w styczniu 1942 roku, poznał Antoniego Gąsiorowskiego, zawiadującego z Chwaliszewa, który z jednej strony miał już na koncie udział w wielu bójkach i po był w więzieniu przed wojną za zranienie nożem znajomego, ale przede wszystkim - który świetnie znał teren Chwaliszewa, tutejszych ludzi i był patriotycznie nastawiony. Gąsiorowski bowiem pracując na Chwaliszewie jako woźnica, nie tylko nucił sobie Mazurka Dąbrowskiego, ale również napadał na nietrzeźwych Niemców, którzy niebacznie weszli na jego teren.



Przedwojenne zdjęcie części portu rzeczno-ego nad Wartą

Gdy Gąsiorowski usłyszał od Garczyka, że może wejść w skład niepodległościowej organizacji bojowej - Związku Walki Zbrojnej - był zachwycony. Przyjął od razu pseudonim „Ślepy” - nie miał bowiem jednego oka. On też wskazał „Kubie” godnych zaufania ludzi, którzy następnie utworzyli oddział mający zniszczyć magazyny. Weszli w jego skład m.in. pracujący w porcie jego brat Władysław, czy Władysław Laube, należący do ochrony portu.

Podpalić magazyny

Plan był prosty - trzeba było podpalić jeden z magazynów,

ale tak, by wyglądało to na wypadek, a od tego ognia miały zająć się płomieniami kolejne obiekty, stojące ciasno przy sobie. Pożar miał wybuchnąć w magazynie firmy Posener Gummiwerke, w którym przechowywano opony i wyroby z gumy. Miało być w nim około pięciu tysięcy kompletów opon!

Samo podpalenie miało być dziełem Henryka Golimowskiego, elektryka, który miał tak przygotować instalację elektryczną, by w umówionym momencie doszło do zwarcia w piecyku elektrycznym stojącym w magazynie z łatwopalnymi wyrobami gumowymi.

Osiemnastoletni Golimowski pod pozorem wykonywania swoich obowiązków, przygotował mechanizm zegarowy i instalację piecyka.

W nocy z 20 na 21 lutego 1942 roku konspiratorzy rozpoczęli akcję. Należący do grupy wartownik wpuścił ich na teren portu. Piecyk faktycznie zapalił się w efekcie zwarcia, a ludzie Gąsiorowskiego - z nim na czele - dodatkowo podkładali ogień.

Tak jak przypuszczał Garczyk, nikt nie był w stanie uratować magazynów. Spłonęły w nich tony żywności, ciepła odzież, buty dla żołnierzy, tysiące opon i wyrobów gumowych dla wojska. Mówiono, że samych tylko zimowych ciepłych ubrań zebrano w magazynie tyle, że starczyłoby ich dla dywizji piechoty. A teraz poszły z dymem... Ostrożnie szacując, straty określano na milion - półtora miliona marek, najważniejsze jednak było to, że wojska niemieckie na froncie wschodnim nie otrzymały właściwego zaopatrzenia. O sukcesie i znaczeniu akcji premier polskiego rządu, generał Władysław Sikorski, polecił zawiadomić Józefa Stalina, z informacją, że niemieckie oddziały nie dostaną ciepłej odzieży i innego zaopatrzenia.

Niemcy początkowo uznali, że pożar był przypadkowy, że nastąpił w wyniku zwarcia w piecyku elektrycznym. Zwolniono do domów zatrzymanych po pożarze wszystkich pracowników portu. Poznańscy funkcjonariusze gestapo nie byli jednak skorzy do uwięzienia w przypadkowe zwarcie - uruchomili sieć konfidentów i w kwietniu 1942 roku, namierzili pierwszych członków Związku Odwetu, a po nich - uczestników akcji Bollwerk. Gąsiorowskiego aresztowano 25 czerwca 1943 roku - nie padał się bez walki! Później w czasie przesłuchania na gestapo ciężko zranił jednego ze swoich katów - mówiono, że pchnięty przez jednego z gestapowców, znalazł się blisko innego funkcjonariusza i przegryzł mu gardło! Został zamęczony na śmierć. Sierżant Michał Garczyk i trzynastu innych ludzi, którzy przeniknęli przed pożarem do portu, został skazany na śmierć 16 listopada 1943 roku. Zabito ich miesiąc później; wojnę przeżył - po przesłuchaniach w Forcie VII i w obozach koncentracyjnych tylko jeden z nich - Roch Piątkowski.

JAK NYLONOWA SZCZOTECZKA DO ZĘBÓW ZREWOLUCJONIZOWAŁA STOMATOLOGIĘ

24 lutego 1938 r. amerykański potentat chemiczny DuPont zaprezentował publicznie cud medycyny: szczoteczkę do zębów z nylonowym włosiem

Mariusz Grabowski

Szczoteczki natychmiast stały się przedmiotem pożądania czyściochów. Dwa lata później firma powtórzyła sukces, wprowadzając na rynek nylonowe pończochy. Za oba wynalazki odpowiadał Wallace Carothers, szef zespołu chemików DuPont.

To przełom!

Nylon jest polimerem syntetycznym, co oznacza, że składa się z długich łańcuchów powtarzających się jednostek. Charakteryzuje się wysoką odpornością na ścieranie, rozciąganie oraz szybkim schnięciem. Użyto go do przedmiotów codziennego użytku, bowiem stanowił doskonałą syntetyczną alternatywę dla drogiego jedwabiu. W stomatologii i pończosznictwie sprawdził się wręcz doskonale.

Co ciekawe, sam Carothers nie do końca był przekonany o sensowności wykorzystania nylonu do higieny zębów. Uważał, że szczoteczki z naturalnego włosia, najczęściej dzika, choć nietrwałe i łatwo ulegające zawilgoceniu i pleśnieniu, nie powodują niszczenia powierzchni zębów jak nylon. Nie doczekał zresztą publicznej prezentacji swojego wynalazku – chorował na cyklofrenię i w przebiegu fazy depresyjnej popełnił samobójstwo wypijając w 1937 r. roztwór cyjanku potasu.

Pierwsze szczoteczki otrzymały nazwę „Dr. West's Miracle-Tuft”, miały charakterystyczne kolorowe uchwyty i szybko okazało się, że ich nylonowe włókna są gładkie i mniej abrazyjne (w dentystyce tym terminem określa się ścieranie), co znacząco zmniejszyło ryzyko uszkodzeń dziąseł, otarć i krwawienia w porównaniu do tradycyjnych szczoteczek. Firma DuPont zastosowała zmasowaną reklamę nowego produktu: szczoteczki rozdawano na ulicach, reklamowano w radiu i prasie. Do ich stosowania przyznawali

się publicznie celebryci, choćby Humphrey Bogart.

Z dzisiejszej perspektywy dobrze widać, że tania, ogólnodostępna szczoteczka była miłowym krokiem w pielęgnacji zębów. Przyczyniła się w ogromnym stopniu do promocji nawyków higienicznych Amerykanów. Co więcej, w czasie II wojny światowej nylonowe szczoteczki stały się elementem osobistego wyposażenia żołnierzy amerykańskich, co po wojnie przyczyniło się do rozpowszechnienia nawyków higienicznych wszędzie tam, gdzie dotarli w trakcie działań. Ale już np. do Polski trafiały one w ramach pomocy UNRAA, wraz z lekami, żywnością i odzieżą.

Zacytujmy fragment instrukcji amerykańskiego Departamentu Zdrowia i Opieki Społecznej rozsyłanej na przełomie lat 30. i 40. do lekarzy-stomatologów, sprzedawców akcesoriów i aptekarzy „Szczotka do zębów zbudowana jest z główki, szyjki i rączki (rękojeści). Główka powinna być zaokrąglona, a swoim zasięgiem obejmować od dwóch do trzech zębów. Ważna jest też jej szerokość – nie powinna przekraczać 3/4 cala, ponieważ gwarantuje to dotarcie do trudno dostępnych, policzkowych i językowych powierzchni trzonowców. Szyjka szczoteczki musi być elastyczna, aby uniemożliwić wywieranie zbyt dużego nacisku. Rączka powinna być antypoślizgowa, aby wygodnie leżała w dłoni pacjenta”.

Dodajmy do tego przekonanie – nieoczywiste jeszcze na początku XX w. – że zadbane zęby są oznaką zdrowia i estetyki. Ma rację Fabian Obzejta, publicysta Pisma Okręgowej Izby Lekarskiej w Łodzi „Panaceum” piszący, że „pielęgnacja jest o tyle łatwiejsza, że mamy już dawno za sobą takie sposoby dbałości o zęby, jak płukanie jamy ustnej moczem, spożywanie chleba nadgryzionego przez myszy czy używanie pa-

TANIA SZCZOTECZKA BYŁA MIŁOWYM KROKIEM W PIELĘGNACJI ZĘBÓW. PRZYZCZYNIŁA SIĘ DO PROMOCJI NAWYKÓW HIGIENICZNYCH AMERYKANÓW

sty w słoikach zastąpionej skutecznie w roku 1897 pierwszą pastą w tubach marki Colgate” (nr 11 z 2002 r.).

W każdej łazience

Owa społeczna recepcja przekonania, że warto dbać o stan uzębienia, a co za tym idzie masowa sprzedaż szczoteczek, past do zębów, wykałaczek, nici dentystycznych i innych akcesoriów, miała wymierny skutek w rozwoju stomatologii w formie organiza-

cyjnej. Choćby w zjawisku pojawienia się gabinetów stomatologicznych w dzisiejszej postaci.

Pierwsze tego rodzaju miejsca zaczęły powstawać na przełomie XIX i XX w., zastępując doraźną pomoc felcerów i lekarzy domowych. Jednak z danych wspomnianego już amerykańskiego Departamentu Zdrowia wynika, że w pierwszych latach XX w., w dwóch największych miastach Wschodniego Wybrzeża – No-

wym Jorku i Waszyngtonie – funkcjonowały oficjalnie jedynie 34 punkty doraźnej pomocy dentystycznej, które można by nazwać gabinetami. W latach 30. było ich już ok. 190, a w 40., czyli w momencie początku boomu na higienę wywołanego szczoteczkami nylonowymi – już ponad 12 tys.

Co więcej, owe gabinety nie były już tylko miejscem wyrwania bolących zębów, ale w coraz większym stopniu leczenia zachowawczego. Świadczy to, że nawyki higieniczne – przede wszystkim codzienne mycie jamy ustnej przynajmniej raz dziennie – przyniosły wymierny efekt. Pod koniec lat 40. większość Amerykanów przyznawało się, że posiada własną szczoteczkę do zębów, a prawie wszyscy, że szczoteczka do zębów jest obecna w ich domowej (zwykle rodzinnej) łazience.

Tu dygresja: olśniewające białą zęby można uzyskać z dnia na dzień, niejako na skróty. Już w 1928 r. dr Charles Pincus, zwany „dentystą hollywoodzkich gwiazd”, stworzył pierwsze licówki, aby poprawić uśmiech aktorów na potrzeby ról. Licówki, ceramyczne, kompozytowe lub porcelanowe do dziś mają swoich zwolenników, ale nawet one wymagają tego, żeby wyposażenie swojej jamy ustnej utrzymywać w codziennej czystości. Właśnie szczoteczką.

Czy szefowie DuPont mogli przewidzieć, że tzw. American Smile stanie się z czasem kulturowym standardem, w którym śnieżnobiały, idealnie prosty uśmiech jest postrzegany jako symbol sukcesu, zdrowia, wysokiego statusu społecznego i atrakcyjności? Tego nie wiemy, na pewno jednak interesowali się biznesową stroną swoich wynalazków.

Wedle dostępnych publicznie danych firma kontroluje znaczącą część rynku specjalistycznych nylonowych włókien do szczoteczek, a ich sztandarowy produkt – DuPont

Tynex® jest niezmiennie standardem w branży stomatologicznej. Innymi słowy świat zalany jest firmowym nylonem, choć nie wiadomo ile z całej jego puli trafia akurat do produkowanych szczoteczek. W 2024 r. przychody całej korporacji, produkującej m.in. kevlar, tyvek i teflon, wyniosły ponad 12 mld dolarów.

Spójrzmy szerzej. Według danych z 2022 r. amerykański rynek klasycznych (czyli nylonowych) szczoteczek do zębów wyniósł blisko siedem mld dolarów. W tym samym 2022 r. rynek opieki stomatologicznej, obejmujący szczoteczki do zębów, pasty do zębów, płyny do płukania ust i inne produkty tej branży, miał szacunkową wartość wynoszącą 35,5 mld.

I jeszcze jedno dane: w 2022 r., tylko w Stanach, wyprodukowano prawie pięć mld manualnych szczoteczek do zębów. To tak oszałamiająca ilość, że niektórzy producenci, co bardziej troskliwi ekologicznie, deklarują opracowanie ich biodegradowalnej wersji, np. z drewnianym uchwytem i z... naturalnego włosia. Co tylko potwierdza zasadę, że historia kołem się toczy.

Światło i jony

Jest jeszcze jeden daleko sięgający efekt rewolucyjnego wynalazku Wallace'a Carothersa – to lawina kolejnych rodzajów szczoteczek do zębów, czasem zupełnie fantastycznych. Niemal równocześnie ze szczoteczkami z nylonu powstawały bowiem prototypy szczoteczek elektrycznych. Pierwowzór stworzono tuż przed wybuchem II wojny, a do seryjnej produkcji trafiły pod koniec lat 50. W 1961 r. powstała ich pierwsza bezprzewodowa wersja.

Pierwotnie dedykowana była osobom, które mają problemy z dokładnym czyszczeniem zębów, czyli dzieciom i osobom niepełnosprawnym. Jednak ze względu na łatwość obsługi i wygodę weszła do powszechnego użycia, a w chwili obecnej ma już swoje modyfikacje w postaci szczoteczek sonicznych (dźwiękowych) czy magnetycznych.

A w kolejce czekają urządzenia, których zasada czyszczenia zębów opiera się na tzw. technologii jonowej. Światło UV generowane jest przez lampę UV LED, na promieniowanie reaguje płytka tytanowa umieszczona w uchwycie szczoteczki, a emitowane ujemnie naładowane jony przyciągają bakterie płytki nazębnej do główki szczoteczki. Pozwala to – wedle zapewnienia inżynierów od stomatologii – na niemal całkowite wyeliminowanie bakterii streptococcus mutans, odpowiedzialnych za rozwój próchnicy. Dodatkowo technologia jonowa pozytywnie wpływa na stan zdrowia dziąseł, ponocznaczając poprawiając ich kondycję.



Jedna z pierwszych reklam nylonowej szczoteczki. Otrzymały one nazwę „Dr. West's Miracle-Tuft” i miały charakterystyczne kolorowe uchwyty

FOT. DOMENA PUBLICZNA



NIEZBĘDNIK CZYTELNICZY

poleca
Mariusz Grabowski



Na muzycznych manowcach, czyli nie tylko Bach i Vivaldi

Już sam tytuł tomu – „Największe kurioza w historii muzyki” – korci, aby doń zajrzeć. Dziwactw w świecie nie brakuje, ale te z dziedziny dźwięków wydają się wyjątkowo osobiwe. Autorem dzieła jest Anglik Edward Brooke-Hitching, który z opisywania ludzkich odlotów uczynił życiową pasję. Mieszka w Londynie wśród stert zakurzonych starych map i książek i co pewien czas zadziwia. Był już „Atlas lądów niebytych”, „Biblioteka szaleńca” i „Atlas tamtych światów. Teraz jest „Orkiestra szaleńca”.

Kłute gwoździem koty

Muzyczne kurioza kojarzą się np. z największym fortepianem koncertowym w historii. Zbudował go nasz rodak Daniel Czapiewski – instrument ma długość 6 metrów, 2,5 metra szerokości i 2 wysokości. Zaopatrzony jest w 156 klawiszy, dwa razy więcej niż normalny. Grać na nim trudno, bo trzeba ganiać wokół, ale wygląda imponująco. Inne skojarzenie to kompozycja, która do odtworzenia wymaga użycia czterech śmigłowców i kwartetu smyczkowego. „Helikopter-Streichquartett” to eksperymentalne dzieło Karlheinz Stockhausena, które w swoim przeznaczeniu miało być odegrane na pokładzie unoszących się w powietrzu aparatów.

Jest jeszcze tzw. katzenorgel barokowego geniusza Athanianausa Kirchera. Koty umieszczone w małych klateczkach kłute były gwoździami przez skomplikowany system zapadek i przekładni uruchamianych przez artystę. Piszcząły na różne głosy, z czego można było od biedy stworzyć linię melodyczną (odmianą kocich organów była świńska fisharmonia – zamiast piszczących kotów kwiczały w nim świnię).

Opera na papierze toaletowym

Lecz to wszystko betka w porównaniu z muzycznymi wątkami fekalnymi. Spisowy Joseph Haydn pozwolił sobie w „Symfonii nr 93” na dość „przaśny” (określenie tłumacza Janusza Szczepańskiego) żarcik: w drugiej części muzyka zwalnia, zaś fagot wydaje nagle dźwięki do złudzenia przypominający pierdzenie.

Przy okazji warto też wspomnieć o innym tego typu dziele – „Trzech włosach starego mędrca”, pięcioaktowej operze spisanej węglem leczniczym na papierze toaletowym. Jej twórcą był czeski kompozytor Rudolf Karel, a na jego usprawiedliwienie trzeba dodać, że operę skomponował zamknięty w hitlerowskim obozie koncentracyjnym w Terezynie.

Edward Brooke-Hitching, „Orkiestra szaleńca. Największe kurioza w historii muzyki”, wyd. Tebis, Poznań 2026, cena 99 zł



Jak ze Stalina zrobić sojusznika?

Po co – pyta historyk Giles Milton – do Moskwy polecieci Averell Harriman, amerykański krezus i dyplomata i brytyjski ekscentryk Archi Clark Kerr? Jaką grę rozpocząli z sowieckim tyranem?

Giles Milton, „Sprawa Stalina”, wyd. Noir sur Blanc, Warszawa 2026, cena 99 zł



„Obrażają mnie, mówiąc, że chcę wojny”

Historyczna podróż w głąb mechanizmów propagandy, ukazująca, jak zachodnia prasa, nieświadomie lub z wyrachowaniem, stała się narzędziem w rękach nazistowskiego przywódcy.

Éric Branca, „Wywiady z Hitlerem”, wyd. Znak, Kraków 2026, cena 79,90 zł



Armia Czerwona jako armia gwałcicieli

Leszek Pietrzak nie ma złudzeń: Związek Sowiecki, często idealizowany lub sprowadzany do uproszczonych narracji, stanowił kolebkę ludobójstwa i bezprecedensowego terroru.

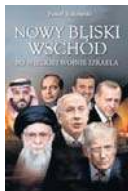
Leszek Pietrzak, „Zakazana historia Sowietów”, wyd. Fronda, Warszawa 2026, cena 69,90 zł



Armia bezkarnych hitlerowców

Reportaż sądowy, który z precyzją analizuje jeden z najbardziej złożonych problemów powojennej Europy: kwestię odpowiedzialności za zbrodnie nazistowskie.

Tobias Buck, „Ostatni proces. Niemieckie rozliczenia z nazistowską przeszłością”, wyd. Czarne, Wołowiec 2026, 66 zł



Zglistacza po wielkiej wojnie Izraela

W 2025 r., w wyniku negocjacji prowadzonych przez Donalda Trumpa, w Gazie ustały działania wojenne. Pozostaje pytanie: czy faktycznie oznacza to trwały spokój w regionie?

Paweł Rakowski, „Nowy Bliski Wschód”, wyd. ZonaZero, Warszawa 2026, cena 49,90 zł



O Biłgoraju – szteltu utraconym

Andrzej Krawczyk, historyk i dyplomata, odtwarza świat żydowskiego miasteczka na przykładzie Biłgoraja – sztelta, który pokazał światu laureat Literackiego Nobla Isaac Bashevis Singer.

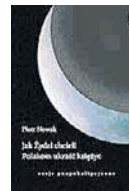
Andrzej Krawczyk, „Jeszcze słychać tę muzykę”, wyd. Znak, Kraków 2026, cena 89,99 zł



Żydowscy łowcy nazistów

Fabularyzowane losy Żydów, którzy po Holokauście mścili się na oprawcach. Jednym z nich był Tadeusz Jasiński, ocalały z Zagłady, który wstąpił do UB w Gdańsku z jednym celem: „krew za krew”.

Marek Łuszczyna, „Bękarty polski”, wyd. Znak, Kraków 2026, cena 59,99 zł



Konflikt był nieunikniony?

Zbiór postapokaliptycznych esejów prof. Piotra Nowaka, w których przygląda się wybranym aspektom polsko-żydowskich współzależności, wykraczając poza utarte schematy i oceny.

Piotr Nowak, „Jak Żydzi chcieli Polakom ukraść księżyc”, wyd. PIW, Warszawa 2026, 55 zł



Uparte serce Haliny Poświatowskiej

Kalina Błażejowska, autorka „Upartego serca”, podążyła śladami poetki od Częstochwy aż po Nowy Jork. Powstał portret kobiety, która żyła po swojemu aż do końca.

Kalina Błażejowska, „Uparte serce. Biografia Haliny Poświatowskiej”, Wyd. Literackie, Kraków 2026, cena 89,90 zł



Królowe, które rządziły Anglią

Cesarzowa Matylda, Eleonora Akwitańska czy Izabela Francuska – to niektóre z kobiet, które władę Anglią przed Elżbietą I. Ich śladami podąża mediewistka z Cambridge Helen Castor.

Helen Castor, „Wilczyce”, wyd. Znak, Kraków 2026, cena 109,99 zł



Kobiety w dziejach starożytności

Wśród bohaterek Daisy Dunn są m.in. Artemizja, dowódczyni floty Kserksesa, trucicielka Lokusta i Fulwia, która rzuciła wyzwanie samemu Oktawianowi. One też tworzyły historię starożytności.

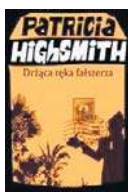
Daisy Dunn, „Zagubiony wątek”, Wyd. Literackie, Kraków 2026, cena 99,90 zł



Jak powstało polskie wzornictwo

Wanda Telakowska (1905–1985) to postać, która na zawsze odmieniła oblicze polskiego wzornictwa powojennego. Teraz poznajemy ją dzięki biograficznemu śledztwu Katarzyny Rzehak.

Katarzyna Rzehak, „Piękno dla wszystkich”, wyd. Marginesy, Warszawa 2026, cena 74,90 zł



Oby nigdy nie zadrżała ci ręka!

W najlepszej z powieści Patricia Highsmith poznajemy Howarda Inghama, nowojorskiego pisarza, który uciekając przed nieudanym małżeństwem, szuka azylu w rozgrzanej słońcem Tunezji. Na własną zgubę...

Patricia Highsmith, „Drżąca ręka fałszerza”, wyd. Noir sur Blanc, Warszawa 2026, 55 zł



Czytając „Lalkę” i ciesząc oko

Najnowsza edycja „Lalki” to tzw. wydanie warszawskie, wzbogacone o ilustracje, dzięki którym zyskuje nowy wymiar estetyczny i pozwala na zanurzenie się w świat XIX-wiecznej Warszawy.

Bolesław Prus, „Lalka” (wydanie warszawskie ilustrowane), wyd. MG, Warszawa 2026, cena 99,99 zł



Arendt Dickmann rzuca wyzwanie Fortunie

Jacek Komuda, piewca dawnej Rzeczypospolitej, przenosi nas do roku 1627. To wówczas Bałtyk staje się areną bezwzględnej walki o dominację, a Gdańsk, perła Korony, staje w obliczu śmiertelnego zagrożenia.

Jacek Komuda, „Galeony wojny”, wyd. Fabryka Słów, Warszawa 2026, cena 64,90 zł



Życie i śmierć w mroku japońskiej mafii

Martina Baradel, kryminolożka z Oksfordu i badaczka japońskiej przestępczości, wykorzystuje w „Yakuzie” postać Jun'ichiro Tanaki, fikcyjnego bohatera, który staje się przewodnikiem po realiach tamtejszej mafii.

Martina Baradel, „Yakuza blues”, wyd. Znak, Kraków 2026, cena 59,99 zł

Piękne miłości dzieją się nie tylko w walentynki, ale między ludźmi, którzy wybrali siebie na każdy dzień. Bo im RAZEM NAJLEPIEJ! Też tak macie? Zgłóście się!

kb
katarzyna.adamczyk@polskapress.pl

Jesteśmy po pierwszym tygodniu głosowania w plebiscycie Razem Najlepiej 2026 - akcji dla szczęśliwych par. W tym wydaniu gazety pokazujemy zdjęcia pierwszych liderów Waszego głosowania.

Spójrzcie na te zdjęcia. Czasami bardzo naturalne, czasami zabawne, czasami wzruszające.

Każde inne. Ale każde prawdziwe. - Nasi Czytelnicy wybiorą spośród wszystkich zgłoszonych par te najsympatyczniejsze, a my je nagrodzimy - mówi Daria Jankiewicz-Kaczmarek, odpowiedzialna za realizację plebiscytu: - Na zwycięzców czekają nagrody.

A te nagrody to - między innymi - wyjazdy do SPA i wczasy w Grecji. A na finał zajędzie nagroda główna, bo będzie to...

samochód! Piękny, nowiutki Citroen C3 Aircross Plus!

Na zdjęciach par już zgłoszonych do akcji miłość widoczna jest i w spojrzeniu idących ze sobą przez życie od wielu lat, i w uśmiechu tych, którzy dopiero uczą się swoich gestów, nawyków, poranków. Na jednych zdjęciach widać śmiech, na innych czułość. Na wszystkich - bliskość. To właśnie te i inne fotografie

tworzą karty naszego wspólnego albumu Razem Najlepiej 2026. Albumu regionu, w którym miłość nie jest wielkim hasłem od wielkich walentynek, ale codziennością. Jest spacerem, wspólną kawą, objęciem.

Jeśli czytając, to pomyślicie, „przecież my też tak mamy” - to... znak, że warto się zgłosić do plebiscytu Razem Najlepiej 2026. Jeszcze możecie - na zgłoszenia czekamy do 24 lutego.

Pamiętajcie jednak, ta akcja nie jest konkursem na perfekcyjność. Nie chodzi o Wasze idealne zdjęcie ani najbardziej spektakularną historię miłosną. Chodzi o odwagę, aby powiedzieć światu: „To jesteśmy my. To jest moja najulubiejsza osoba na świecie. To nasze bycie razem”. Chodzi o chwilę zatrzymania w codziennym biegu i spojrzenie na siebie z boku, by dać sobie okazję

na przygodę jako para. Publikujemy dziś kadry liderów akcji, by pokazać ich miłości - i pokazać, że nie trzeba profesjonalnej sesji ani idealnej scenarii, by miłość wisiała w powietrzu. Wystarczy być razem. Wystarczy spojrzeć na siebie tak, jak patrzycie zawsze. Przecież to Wasz najulubiejszy człowiek na świecie!

Szczegóły na polskanews.pl/razem-najlepiej

RAZEM DO 10 LAT WŁĄCZNIE



Magdalena Olszewska i Szymon Ćwik, powiat przysuski i powiat szydłowiecki



Klaudia Głowa i Kamil Kowalczyk, powiat białobrzeski i powiat kozienicki



Magdalena Sobczak i Piotr Kazimierzczak, powiat grójecki i powiat piaseczyński



Monika Myszka i Mikołaj Myszka, powiat radomski



Patrycja Hołub-Łamasz i Ireneusz Łamasz, Warszawa



Karolina i Brian Wulkiewicz, Radom



Iwona Płatkowska i Piotr Dłuski, powiat garwoliński i powiat miński



Klaudia i Damian Antonik, powiat lipski i powiat zwoleński

RAZEM WIĘCEJ NIŻ 10 LAT



Karolina i Damian Papka, powiat radomski



Anna Kołodyńska i Mateusz Kołodyński, Radom



Jolanta i Grzegorz Ruta, powiat lipski i powiat zwoleński



Aneta i Przemysław Antosiewicz, Warszawa



Karolina i Grzegorz Derleta, powiat przysuski i powiat szydłowiecki



Agnieszka i Tomasz Żakowicz, powiat pruszkowski



Anna i Waldemar Ostrowscy, Płock, powiat płocki i powiat gostyński



Olga i Dominik Dzwonkowsy, Ostrołęka, powiat ostrołęcki i powiat ostrowski

INWESTYCJE CZWARTA LINIA METRA BĘDZIE LICZYĆ 23 STACJE I 26 KM. PRZETNIE AŻ DZIEWIEĆ DZIELNIC MIASTA

Rusza budowa czwartej linii metra. Rozpoczęły się pierwsze odwierty

Kamil Jabłczyński
Warszawa

Linia metra M4 symbolicznie wyszła poza biurka planistów. Wykonano pierwsze z przewidzianych niemal półtora tysiąca odwiertów geologicznych pod budowę nowej linii.

O rozpoczęciu odwiertów w środę, 18 lutego 2026 poinformował w mediach społecznościowych prezydent Warszawy, Rafał Trzaskowski.

- Każda wielka inwestycja zaczyna się od mniejszych kroków. Zanim wejdzie ciężki sprzęt, nawet budowa metra wygląda dość skromnie. Zaczęliśmy odwierty geologiczne pod budowę IV linii warszawskiego metra - napisał prezydent.

Rafał Trzaskowski poinformował, że w sumie przeprowadzone zostanie około 1450 odwiertów i sondowań. - Takich „punktów” w najbliższych miesiącach zobaczycie w przestrzeni miejskiej więcej - w sumie przeprowadzimy około 1450 odwiertów i sondowań. Zbadamy grunt pod powierzch-



Dziś pociągi metra obsługują w Warszawie dwie trasy. Projektowana linia czwarta połączy Białąłkę z Wilanowem, przecinając biznesowe dzielnice stolicy

nią terenu, żeby dobrać rozwiązania technologiczne. Wszystko po to, by później bezpiecznie prowadzić budowę - dodał.

Planowana czwarta linia warszawskiego metra o długo-

ści 26 km ma być obsługiwana całkowicie autonomicznie, z trzema typami stacji. Połączy ona Białąłkę z Wilanowem, a przebiegać będzie także przez Bielany, Żoliborz, Woleń, Ochotę i Mokotów.

Na czwartej linii znajdą się 23 stacje: Myśliborska, Obrazkowska, Płochocińska, Ruda, Marymont (przesiadkowa z M2), Rydygiera (przesiadkowa z koleją), Rondo Radosława, Cmentarz Żydowski, Okopowa,

Rondo Daszyńskiego (przesiadkowa z M2), Plac Zawiszy (przesiadkowa z koleją), Plac Narutowicza (przesiadkowa z M5), Bitwy Warszawskiej 1920 r., Wiślicka, Żwirki i Wigury (przesiadkowa z M3 i koleją), Służewiec (przesiadkowa z koleją), Rondo Unii Europejskiej, Smoluchowskiego, Wilanowska (przesiadkowa z M1), Dolina Służewiecka, Patkowskiego, Sobieskiego, Wilanów.

Budowa nowej linii ma rozpocząć się od strony Białąłki. Nieznany jest jeszcze termin inauguracji budowy.

Wcześniej w grudniu władze miasta informowały, że pociągi po tej linii będą w pełni autonomiczne, a więc prowadzone bez udziału maszynistów. - M4 to będzie pierwsza w pełni autonomiczna linia Metra Warszawskiego - pociągi będą jeździć bez maszynistów. To będą 23 stacje rozciągnięte na ponad 26 km, obsługujące aż 9 dzielnic. A budowę M4 rozpoczniemy od Białąłki, tworząc też nowe połączenie przez Wisłę - przekazał Rafał Trzaskowski.

System sterowania przejmie wszystkie zadania maszynisty:

zdecyduje o prędkości, zatrzymaniu, otwieraniu drzwi, a nawet zareaguje w sytuacji awaryjnej. Nad wszystkim będzie jednak też czuwać człowiek. Jak tłumaczy miasto, obecnie maszynista jest wspomagany przez automatyczne systemy i jego rola ogranicza się głównie np. do uruchomienia pojazdu, rozruchu i hamowania oraz zamykania drzwi.

Na linii M4 w pociągu nie znajdzie się żaden personel nadzorujący jazdę pociągu. System nadzoruje wymianę pasażerską, inicjuje odjazd, a także monitoruje i interpretuje stany oraz sytuacje zagrażające życiu, a także zdrowiu pasażerów, takie jak pożar w tunelu lub pociągu czy obecność przeszkody w obszarze torowiska.

Pełna automatyzacja sterowania ruchem pociągu metra minimalizuje ryzyko i ogranicza błędy ludzkie, co wpływa na większe bezpieczeństwo pasażerów i mniejsze zużycie energii - nawet do 30 proc. Zminimalizuje też ryzyko braku obsady, co przekładałoby się na mniejszą liczbę pociągów w ruchu i rzadsze kursowanie np. w święta.

POLSKA

Redaktor naczelny **Arlena Sokalska**
Z-ca redaktora naczelnego **Agaton Kosiński**
Prezes Makroregionu **Aureliusz Mikos**
Dyrektor centralnego biura reklamy **Witold Trzcinski**
Dyrektor marketingu Polska Press **Rafał Piasecki**

Redakcja ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00, faks: 22 201 42 01
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Druk Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul. Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10



© - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.polskatimes.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenia?
przez internet ibo.polskapress.pl

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

INNE

Kupię mieszkanie zadłużone, z trudnym lokatorem, komornikiem, udziały. Gotówka, 883-402-202

Handlowe

INNE

ZABYTKOWY duży ekspres do kawy
Kupię tel. 576-948-827

ZABYTKOWY duży ekspres do kawy
Kupię tel. 576-948-827

Praca

ZATRUDNIĘ

SERWIS sprzątający
z gr. niepełnosprawności Błonie, tel.
668 085 925

SERWIS sprzątający
z gr. niepełnosprawności Ożarów
Mazowiecki tel. 668 085 925

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy koło Wadowic - Wielkanoc od 1100 do 1400zł. Możliwość dowozu 501-642-492

Różne

STARE książki skup, 881-934-948

Rolnicze

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%,
K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/
tona, 500-669-621

AUTOREKLAMA

nasze komunikaty.pl

AUTOREKLAMA

Polecamy →

SPORTOWY24



Sport to Wy

sportowy24.pl

Pomału mówimy „Arrivederci”. Przed Polakami ostatnia szansa

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

IGRZYSKA. Do zakończenia XXV Zimowych Igrzysk Olimpijskich pozostały tylko trzy dni. Przed nami ostatnie zmagania, ostatnie szanse na zdobycie medalu, ostatnie możliwości przejścia do historii.

Zanim jednak będziemy świadkami ceremonii zakończenia (niedziela, godz. 20.00), zobaczymy jeszcze kilkoro reprezentantów Polski.

Dzisiaj kończą zmagania pan-czeniści. W hali „Milano Speed Skating Stadium” w wyścigu na 1500 metrów (godz. 16.30) zobaczymy Natalię Czerwonkę, która zalicza swoje piąte igrzyska olimpijskie... Srebrna medalistka z Soczi (2014 r., drużyna) ma już za sobą jeden występ w Mediolanie – w wyścigu na 1000 metrów uplasowała się na 15. miejscu.

– Myślę, że jestem jedyną zawodniczką, która prowadzi swój klub sportowy, zajmując się również jego organizacją – stwierdziła Czerwonka. – Zostawiłam przez ostatnie dwa lata przygotowań te moje dzieci, ale wrócę do nich. Cieszę się, że tak wiele dzieciaków u mnie chce trenować. Jesteśmy w dobrym czasie dla polskiego łyżwiarstwa szybkiego, musimy to wykorzystać i jeszcze przyciągnąć młodych ludzi do uprawiania tego sportu.

W piątek na pewno będziemy kibicowali zimowej For-



FOT. EAST NEWS

Dzisiaj o 16.30 zobaczymy Natalię Czerwonkę w wyścigu na 1500 metrów

mule 1. Na torze „Cortina Sliding Centre”, wystartuje nasza żeńska dwójka Linda Weiszewski/Klaudia Adamek (godz. 18.00). Nasza eksportowa pilotka zdążyła już poznać obiekt w Cortinie d'Ampezzo. Kilka dni temu rywalizowała przeciw w monobobach, które zostały włączone do programu olimpij-

skiego w 2022 roku. Linda Weiszewski – urodzona w Niemczech – zajęła w tej konkurencji 17. miejsce; w najlepszym, czwartym przejeździe zmierzono jej czas startu 5,52 s (10. miejsce) i prędkość maksymalną 118,42 km/h (11. miejsce).

Z kolei Klaudia Adamek jest pierwszą Polką w historii, która

wystąpi zarówno na letnich, jak i na zimowych igrzyskach olimpijskich! W 2021 roku, tokijskich Igrzyskach XXXII Olimpiady, wzięła udział w sztafecie 4 x 100 metrów, biegając m.in. ze świetną płotkarką Pią Skrzyszowską.

Olimpijskie zmagania kończy również short track. O godz. 20.15 zasiądziemy, aby kibicować Natalii Maliszewskiej, Kamili Sellier i Gabrieli Topolskiej, która spróbuje swoich sił w ćwierćfinałach 1500 metrów.

Początkowo Sellier (po mężu Diane Sellier, z domu Stormowska) nie znalazła się w składzie reprezentacji Polski na te igrzyska. Miejsce z wolności się nie długo po styczniowych mistrzostwach Europy. W grudniu, po zakończeniu rywalizacji w cyklu World Tour, który decydował o liczbie przepustek do Mediolanu, Polska miała po dwa miejsca na każdą konkurencję indywidualną. Awansowała także sztafeta mieszana. W składzie znaleźli się: Natalia Maliszewska, Gabriela Topolska, Michał Niewiński i Felix Pigeon.

– Ja sama śledziłam sytuację na świecie i wiedziałam, co się dzieje – wyjaśnia Kamila. – Wiedziłam, że Wielka Brytania nie wysłała dwóch zawodników, a Australijka, która się zakwalifikowała na 1000 metrów, nie ma paszportu. My byliśmy trzecie w tej kolejce do kwalifikacji. Od stycznia to śledziłam, ale do wiedziałam się dopiero po mistrzostwach Europy.

©P

Show Gordona w Azerbejdżanie. Włoskie kluby w trudnej sytuacji

Bartosz Głab
redakcja@polskapress.pl

PIĘKA NOŻNA. Mimo braku wielu europejskich gigantów, sporo działo się w pierwszych meczach fazy play-off Ligi Mistrzów.

Kanonady strzeleckie odbyły się w Azerbejdżanie i Turcji, w trudnej sytuacji przed rewanżami są przedstawiciele Serie A. Co z Polakami? Zagrała trójka, ale...

Największym wydarzeniem pierwszych meczów fazy play-off Ligi Mistrzów były 4 gole Anthony'ego Gordona w meczu Karabach Agdam – Newcastle United. Przedstawiciel Premier League rozbił na wyjeździe zespół z Azerbejdżanu aż 6:1 i rewanż prawdopodobnie będzie tylko formalnością. W bramce drużyny pokonanej stał Mateusz Kochalski, który mimo wpuszczenia tylu goli zagrał naprawdę niezłe spotkanie. Polak wielokrotnie popisywał się znakomitymi interwencjami i gdyby nie on, przyjezdni mogliby mieć na koncie nawet dwucyfrową liczbę goli.

W znacznie lepszym nastroju spotkanie zakończył angielski napastnik Anthony Gordon, który wskoczył na pozycję wice-lidera klasyfikacji strzelców Ligi Mistrzów oraz wszedł do niezbyt szerokiego grona zawodników, którzy zdobyli 4 bramki w jednym meczu tych prestiżowych rozgrywek. Tutaj należy przypomnieć, że tego wyczynu dwukrotnie zdołał dokonać Robert Lewandowski: 24 kwietnia 2013 roku w meczu Borussia Dortmund – Real Madryt (4:1) i 26 listopada 2019 roku w spotkaniu Crvena Zvezda Belgrad – Bayern Monachium (0:6).

W pierwszych spotkaniach fazy play-off Ligi Mistrzów zagrała jeszcze dwójka Polaków. Nicola Zalewski grał do 82. minuty meczu Borussia Dortmund – Atalanta Bergamo, a jego dru-

żyna przegrała z przedstawicielem Bundesligi 0:2.

Natomiast Piotr Zieliński rozegrał nieco ponad kwadrans w Norwegii, gdzie jego Inter Mediolan sensacyjnie przegrał 1:3 z FK Bodo/Glimt. Według doniesień włoskich mediów najlepszy obecnie polski piłkarz zmaga się z dolegliwościami fizycznymi, które mogą wykluczyć go z występu w ligowym meczu Serie A.

Z pozostałych meczów na pewno uwagę zwraca przede wszystkim efektowne zwycięstwo Galatasaray Stambuł 5:2 nad Juventusem Turyn oraz remis 3:3 belgijskiego Club Brugge z Atletico Madryt. W najtrudniejszych sytuacjach przed rewanżem są wspomniani wcześniej azerski Karabach Agdam oraz aż trzy zespoły z Włoch, które będą musiały odrabiać straty z dobrze dysponowanymi przeciwnikami.

Wyniki pierwszych meczów fazy play-off Ligi Mistrzów:

- Galatasaray Stambuł – Juventus FC 5:2;
- AS Monaco – PSG 2:3;
- Borussia Dortmund – Atalanta Bergamo 2:0;
- Benfica Lizbona – Real Madryt 0:1;
- Karabach Agdam – Newcastle United 1:6;
- Olympiakos Pireus – Bayer Leverkusen 0:2;
- Club Brugge – Atletico Madryt 3:3;
- FK Bodo/Glimt – Inter Mediolan 3:1.

Mecze rewanżowe zostaną rozegrane 24 i 25 lutego. Zwycięzcy dwumeczów awansują do 1/8 finału, gdzie czekają już najsilniejsi. Losowanie tej fazy rozgrywek zaplanowano na piątek, 27 lutego br.

Finał obecnej edycji Ligi Mistrzów odbędzie się 30 maja br. na Puskás Aréna w Budapeszcie. ©P

Iwona Januszyk nie wytrzymała. Nerwy puściły

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

SKIALPINIZM. Reprezentanci Polski, Iwona Januszyk i Jan Elantkowski, odpadli w kwalifikacjach sprintu w debiutującym na zimowych igrzyskach olimpijskich skialpinizmie.

33-latką, pochodzącą ze Stawów Grojeckich w okolicach Oświęcimia, uzyskała w swojej serii najślabszy czas, tracąc do najszybszej, Włoszki Giulii Murady, ponad 17 sekund. Ostatecznie została sklasyfikowana na przedostatnim, 17. miejscu...

Elantkowski również odpadł w kwalifikacjach sprintu i XXV Zimowe Igrzyska Olimpijskie zapamięta indywidualnie z 15. pozycji. Polaków czeka jeszcze start w sztafecie mieszanej (sobota, godz. 13.30).

Po minięciu linii mety byliśmy świadkami iście drama-



FOT. EAST NEWS

Iwona Januszyk ostatecznie została sklasyfikowana na przedostatnim, 17. miejscu

tycznych reakcji pani porucznik Wojska Polskiego. Skąd wzięły się łyzy i sportowa złość u pilota wojskowych śmigłowców (wylatanych ponad 100 godzin)?

Roztrzęsiona i wzburzona Iwona Januszyk wyjaśniła, że miała problemy ze sprzętem, a błąd osób odpowiedzialnych

za serwisowanie sprzętu pozabawił ją marzeń.

– Zaraz po starcie przykleiło mi się tyle śniegu pod fokę, że nie mogłam z tym nic zrobić – wyjaśniała roztrzęsiona i wzburzona zawodniczka, która dzisiaj służy w Centralnym Wojskowym Zespole Sportowym.

– To wina złego serwisu. To

było straszne. Najstraszniejszy dzień w mojej karierze. Poświęcałam tak wiele, by tu być. Tyle czasu, którego nie spędziłam ze swoim synem, i teraz tego bardzo żałuję. Na przepince nie mogłam nawet ściągnąć fok. Nie wiem, jak można mieć takiego pecha... Widocznie można. Myślałam, że może się uda, że spróbuję na 100 procent i się uda. Ale byłam ostatnia, za zawodniczkami, z którymi nigdy nie przegrałam. Bardzo dużo poświęciłam, żeby tu być. Uważam dzisiaj, że nie było warto. Bo jedna rzecz, losowa, niezależna ode mnie, odebrała mi wszystko. Są tu moi rodzice, którzy zobaczyli, co zobaczyli. Są ludzie przed telewizorami, którzy też to zobaczyli. Jest mi bardzo wstyd. Przepraszam. Normalnie jestem w pierwszej „dziesiątce” Pucharu Świata, a tu jestem ostatnia. Nie chcę tego komentować...

©P



FOT. PAP/EP

Największym wydarzeniem pierwszych meczów fazy play-off Ligi Mistrzów były 4 gole Anthony'ego Gordona w meczu Karabach Agdam – Newcastle United

[illegible]

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 27 utworzą rozwiązanie – myśl Jana Grossa.

ROZWIĄZANIE: ZYTIE TO NAJWIĘKSZY BAL MASKOWY.